A · K · A



FRASZKI

KRAKÓW · NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO
DAWNIEJ KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

AKA. Kaden Adam.

FRASZKI

Kr. IW. 1917.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO W KRAKOWIE
DAWNIEJ KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

W DRUKARNI EUG. I DR. KAZIM. KOZIANSKICH W KRAKOWIE.

10

SPIS

BAJEK, BAJECZEK I FRASZEK.

8. 2. 1917.

BAJKI, BAJECZKI I FRASZKI.

DEDYKACYA.

Kto czytającą wiersze publiczność stanowi?
Podlotki płci obojga i ludzie fachowi.
Doprawdy, że niekiedy opadają ręce.
Lecz nie: są kochankowie — im tę książkę święcę.

WSTĘP DO BAJEK*).

Publiczność: czysta plaga! znów książka
[z bajkami!
Całkiem, jakbyśmy bajek nie robili sami!

*) Na wypadek, gdyby „Bajki" moje były kiedy wygłaszane z estrady, można użyć innego wstępu — a mianowicie:
Szanowni państwo o spokój proszę:
Bajki — najnowsze bajki przynoszę.

PUSZCZYK.

Bywa w noc złego moc,
Śmiał się puszczyk, uhu! uhu!
Choc, choc, choc, co za noc!
Piał słowik do słuchu.
Świat zakrzyknął: słowik praw!
Precz z kłamcą puszczykiem!
Boże nas od takich zbaw!
I powtarza ze zachwytem:
Słowiku, słowik, słowika, słowikiem.
Cóż się stało? Równo z świtem
Znaleziono gęsi krew
Tam gdzie chlew.
Lis
Ją zgryzł.
Jaskółki nocowała poza domem córka.
Sroce skradziono dwie blaszki
I kawałek szkła z flaszki.
Z trzeciego piętra skoczyła wiewiórka.
Psa Burka

Całą noc dusiła zmora.
Nieślubne prosię pożarła maciora.
Taksamo w innych domach n. p u ludzi
Nikt wesoło się nie budzi.
Rano wszyscy się gromadzą
I o wypadkach nocy przez cały dzień radzą
I o puszczyku: a to, mówią, zakał!
Wykrakał!

SKOCZEK I KULAWY.

Nie tak, nie tak, bo noga wnet ci się powinie!
Uczył kulawy skoczka, jak chodzić po linie:
Ramion nie ściskać, głowa w górę, tempo trzymać,
Raz-dwa-trzy-cztery... Gdy się nie przestaje zżymać,
Skoczek nagle z liny spada.
A kulawy: trudna rada!
Wszak ci przepowiadałem, że cię spotka bieda
I że w ten sposób chodzić po linie się nie da.
Z twarzą napół skrzywioną, napół roześmianą,
Oj, prawda, rzecze skoczek, trąc sobie kolano.
Choć od małego dziecka wbiegam ja na linę
A dziś o mało nie ginę.
Ale jakże utrzymać było równowagę,
Gdyś ty taką do swoich rad przykładał wagę.
— Do mojego kalectwa marny robisz przytyk:
Inna rzecz uczyć, inna umieć, odparł krytyk.

WIATR.

Co wyprawiał dzikie gwałty,
Co z głów zdzierał kapelusze,
Co kobietom ściskał kształty,
Gwiżdżąc na wstydu katusze:
Wiatr ten w zalotnej brzózce nagle się zakocha
I sił ostatkiem o wzajemność szlocha. —
Tak niejeden młody burda,
Co na wszystko mówi: furda!
I co wszystkich waży letce,
Upadnie do nóg kokietce.

CHLEB.

— Ależ nie szarpcie mnie tak! mówił do żołnierzy
Bochen chleba, jowialny i czerstwy staruszek;
Czy to się z wami pogadać zarzekam?
Czy ja uciekam?
Czy mnie na jakimś tam stole zależy —
Albo panieński może pachnie brzuszek? —
I kiedy tak żarcikiem z każdym się podzielił,
Choć pierwej było smutno, wszystkich rozweselił.

KSIĄŻKI.

— Co za życie! mówiły książki w jednym dworze:
Czekać tak wiecznie ustawione w szpaler,
Aż się zmiłuje nasz stary kawaler
Wziąć którą na kolana — a i to mój Boże!
Przewraca tylko kartki, czterech liter muśnie,
Ziewa i uśnie.
— Mnie od lat nie otworzył! pawiedziała „boska“
— Mnie też, chociażem młodsza! przerwie jej
[„nieboska“.
— A mnie odbiegła już nadzieja!
Westchnęła Odyseja.
— Pamiętacie siostrzeńca jego: żwawy chłopiec,
Rzecze książka z obrazkami:
To choć sam mnie nie rusza, aby tylko dopiec,
Odpędził go, że niby to malec mnie splami.
— Tego chłopca to pani źle sobie tłumaczy,
Szara sąsiadka na to: to było inaczej...
Jam, rzekła inna, dotąd nie rozcięta!
Niechaj mu autor tego nie pamięta!
— Co to zakładać harem,
Jak się jest starym!
Wrzasnęły wszyskie, ah nudziarz, ciemięga!
Jedna tylko tak dalece
Nie uskarżała się księga...
Pono dawniej w publicznej była bibliotece.

CIEŃ.

Światło strumieniem lało się z błękitu
I nad polami jasny czuwał dzień.
Jak dzikie zwierzę ścigany od świtu
Omdlewał prawie z umęczenia cień.

I wreszcie ukrył się na dnie parowu
I zapadł w jakiś przedśmiertelny sen.
I śniło mu się, że jest dzieckiem znowu
I cały szereg dawnych, dawnych scen.

I zwłaszcza jedna: jak w rodzeństwa kole
Przy ogniu broi, doskakując doń,
I naraz czuje na rozgrzanem czole
Matki ich wszystkich, nocy chłodną dłoń.

RĘCE CZŁOWIECZE.

Paralipomenon 1, kor. 21, 12 i 13.

Zgrzeszywszy, słał król Dawid po proroka Gada.
— Przyzwoita cię kara spotka, ten powiada:
Ale ci do wyboru trzy rzeczy Pan daje:
Albo głód przez trzy lata nawiedzi twe kraje —
Albo ludu zbrojnego wystąpią tysiące
będziesz w mocy wrogów twych przez trzy [miesiące —

Lub Anioł pański wstanie jeszcze przed wieczorem
I przez trzy dni porazi Izraela morem? —
— Co spełnione być musi, niech się spełni prędzej
I lepsza nagła klęska od przewlekłej nędzy.
Kiedy zaś zewsząd ucisk, mądry Dawid rzecze,
Zawsze wolę wpaść w Pańskie, niż w ręce czło-
[wiecze.

„DRZEWO SAMOBÓJCÓW".

...Z roku się na rok liść jego przerzedza
I tak opodal innych stoi drzew
I nawet żaden ptak go nie odwiedza
I nie brzmi nigdy śród gałęzi śpiew.

A że sam stoi i w miejscu dogodnem,
Kilku już na nim powiesiło się;
Starsze i świeższe wzgórki sterczą pod nim
I stąd się „drzewem samobójców" zwie.

A ile razy znów ktoś doń pośpiesza,
Z radością myśli, że go przyszli ściąć,
Lecz gdy miast rąbać — tamten się obwiesza,
Chce się dębowi razem śmiać i kląć...

ŻÓRAWIE I LIŚCIE.

Ze stron dalekich i w dalekie strony
Jesiennem niebem ciągnie klucz żurawi
I ledwo sobą widza zaciekawi,
Niknie w słonecznym blasku roztopiony.

Jesiennych suchot kwitnąc kolorami,
Zerwą się liście lecieć w kraj szczęśliwszy
I kół w powietrzu kilka zatoczywszy,
Mnogim się trupem ścielą pod drzewami.

MARODERZY.

— Weźcie mie na wóz, bracia! prosił innych
[chorych
Żołnierz maroder; zgodny odpowie mu poryk:
„Sam widzisz, że tu darmo wtykaćby choć
[szpilkę
I szkapy ledwie ciągną, ustaną za chwilkę“.
Lecz tak błagał, tak skomlał, tak wytrzeszczał
[ślepia,
Że wreszcie go przyjęli — a w tem się przyczepia
I niegorzej od niego jęczy piechur nowy —
Zaś szczęśliwiec na wozie krzyczy: „ani mowy“.

MOSKALE ZABRALI.

— Ile to kilometrów będzie do Lublina?
Wywiadywał się ułan — milczał chłopowina.
— Będziesz gadał? piętnaście? dwadzieścia? czy [dalej?
— Niema panie! chłop w końcu: Moskale zabrali.

CESARZ I ŻOŁNIERZ.

Kiedy żołnierza w szpitalu
Cesarz orderem ozdobił
I nie mógł odejść ze żalu —
Coby tu jeszcze dlań zrobił?
Proś, powiada, o co chcesz,
A usłużę ci ja sam.
— Nie wiem sam?
Księdza mam...
— Opiekę masz? — Opiekę też...
I rzeczy swoje wszystkie już tu mam...
Nie wiem sam...
— Ale czy masz żonę? dzieci?
— Zawczas rozdarło,
Wasza cesarska mość.
— A rodzice? — Niech im świeci:
Dawno się obojgu zmarło.

— Pomyśl przecie:
Kogoś musisz mieć na świecie?
— Nie wiem sam?...
Kolegę mam...'
— No przecie!
Jakże mu tam?
— Czyszczoń Wojciech. Temu raczy,
Jeżeli się z nim zobaczy,
Rzec wasza cesarska mość,
Że tę szczotkę — psia jej kość —
Co od niego pożyczyłem,
Gdzieś straciłem.

KULA.

Cała się sprawie ofiarująca
Kula od lęku wolna i skazy
Czekała w lufie karabina,
Aż wybije jej godzina,
Godzina słońca...
Czekała na rozkazy...

I przyszła chwila i w bitwy zamęcie,
Śród jęku rannych, śród huku dział
Na oswobodczy znak-zaklęcie
Zabłysnął strzał...

I z takiem uniesieniem
Kochanek miłej swojej nie otula
Tęsknem ramieniem,
Z jakiem leciała w owej chwili kula.
Zda się stalowe odrzuciła ciało,
Świat w jednym barwnym kręcił się kobiercu,
Powietrze grało —
Aż w czyjemś miękkiem utonęła sercu.

A teraz... teraz w drżącej dłoni leży,
Cała spłaszczona, krwawa rdza ją toczy.
I sama w przeszłość swoją już nie wierzy
I nie śmie spojrzeć starej matce w oczy...

UCZONY.

Po długoletnich próbach, skropliwszy czas wreszcie,
Uczony znajomemu zwierzył się na mieście
Ze swojego odkrycia i wzruszonym głosem
Rozwodził się nad smutnym dotąd ludzkim losem
I jakie miał przeszkody a teraz nadzieje...
Wysłuchawszy, znajomy rzekł: niech się pan śmieje!
Dziś codzień nowy środek — a kupić nakłania
Trafnie dobrana nazwa, gust opakowania —
I jeśli się pan seryo chce zabrać do rzeczy,
Myśl o tęgich „zastępcach“ dla tej swojej cieczy.

X. Y.

Igzypsylon, co świeżo przybył do stolicy
Rozdartej na obozy, gdy go partyjnicy
Wzięli do muru cisnąć, czyją stronę trzyma?
— Rozumie się, że naszą! rzekł, błysłszy oczyma.

RYMY.

Do lichego wiersza
Zeszły się różne rymy: przyszła pierwsza
Róża
A za nią burza,
Przywlekła się dal
A za nią nadbiegł żal
I późno w noc
Zdążyła moc.
Już myślą, że nikt więcej nie przybędzie
A tu zjawiają się łabędzie.
I gdy nadbiegą,
Rzecze jeden do drugiego:
Kolego.
Pośród tych drzew
Zanucim łabędzi śpiew,
Jeśli nie przyjdzie znowu taki czas,
Że ktoś porządne wiersze zrobi z nas.
A to się da,
Gdy się ktoś na tem zna".

ZWIERCIADŁO I POSADZKA.

W jednej balowej sali
Zwierciadło i posadzka ze sobą gadali.
Z mimiką wściekłą:
Ach, te kobietki! zwierciadło rzekło,
Jak to przedemną każda staje,
Jak się uśmiecha czarująco,
Jakie od każdej bije gorąco,
To aż mi szyba nieraz taje,
Jak się wygina, mówię ci: rzepa!
Do tego owe spojrzenia dodaj
Rzucane mi śród tańca bodaj —
Ba, lecz ty także nie jesteś ślepa
I chociaż widzisz mniej niż ja wyraźnie —
Ah, na myśl samą robi mi się słabo —
Musisz oglądać nieraz takie cuda,
Że to przechodzi wszelką wyobraźnię —
I to ty właśnie, ty co jesteś babą!
— Cuda? bieliznę, łydki, uda.
— Nic więcej? — Wiem o co ci idzie.
Owszem widuję — i w całym bezwstydzie.
— No i co? no co? Boże wielki,
Gdybym mógł zmienić się w twe tafelki
Tobym z ochotą
Oddał swoją ramę złotą,

Blaski lustrzane,
Rzuciłbym ścianę,
Poświęcił karyerę!
— Wierzę, wierzę,
Że słowa twoje są szczere,
Nawet kiedy mówisz o karyerze.
Ale powiedzieć chcę ci już raz trzeci:
Nie wszystko złoto, co się szczeci.

NÓŻKA I POŃCZOSZKA.

— Tylko leż obciśle,
Rzekła jedna ładna nóżka
Do pończoszki, a pończoszka:
No myślę!
I każdą swoją nitką
Pieści się z okrągłą łydką.
Widząc, jak do niej przywarła,
Luźne majtki zaśmiały się z całego gardła.

PIUM DESIDERIUM.

— Gdybyż to zawsze można wysłowić się skromnie!
Pewnego razu d..a powiedziała do mnie.

HERKULES NA ROZSTAJNYCH DROGACH.

Myśl Goethego.

Siedział Herkul w zadumie — aż tu dwie niewieście
Kiwają nań zdaleka. „Hej wy, kto jesteście?
Zbliżcie się, ja nie lubię rozmawiać na migi“.
— Jam Cnota, jam Występek, rzekły na wyścigi.
I każda błysnąć przed nim chce swoją urodą
(Obiedwie w rzeczy piękne) i spór oń zawiodą.
Uśmiechnął się Herkules: mówicie na wiater!
Czyżem to nie Herkules, czylim nie bohater?
Inny też niż myślicie będzie mój postępek. —
I wziął pod ramię Cnotę, pod drugie Występek.
Poszły za nim i tylko okiem na się strzygły.
Lecz dziejopis jak zwykle widły zrobił z igły.

BRYLANCIK.

Czytaj w Diderocie:
Dowiesz się o niejednym rozmownym klejnocie.

Do szlifierza rzekł brylancik:
Zrównaj jeszcze mi ten kancik.
Weź mnie w swoje grube palce,
Wywracaj na wszystkie strony,
Jak chcesz ckliw

Nimi szlif
I z twardością mą we walce,
Świszcz i sap zaczerwieniony.
Niech mnie szarpią, niechaj dręczą,
Byle całą błysnąć tęczą!

Przykład z bajki tej urasta:
Per aspera ad astra.

WSTYD.

Świadka czesania włosów odpędziła krzykiem,
Ja się wstydzę! mówiła z rozpiętym stanikiem.
Ja się wstydzę! mówiła z podgiętą sukienką —
Nie wstydziła się pomódz przy tem własną ręką.

NOWE KIERUNKI.

Zuchwalstwem pisać dzisiaj niezuchwałe rymy,
Bo gdy się — będzie temu lat ze dwa dziesiątki —
Robiło w sztuce porządki,
„Artysta“ i „zuchwalec“ były synonimy.

Podobny fakt — nieznany choć pod naszym bokiem
W lisiem się społeczeństwie przydarzył przed
[rokiem.

Lis prorok powstał tam, któren zwyczaje
Współczesnych łaje.
I by dać dowód, jak bardzo jest ciasny
Wszelki przesąd, odgryza sobie ogon własny.
Straszny krzyk przeciw niemu podniósł się
[z początku,
Jakgdyby kto na lisy wylał konew wrzątku.
Lecz on w bój się zakasał także nie na żarty.
Wnet znalazły się lisy, myślące tak samo;
Ogon stał się symbolem tej walki społecznej
I z końcem roku — taki jest paragraf czwarty
Prawa ewolucyi wiecznej —
Odcięta kita wiała ponad każdą jamą.
Dziś tam można tylko chyłkiem
Chadzać ze zakrytym tyłkiem.

KSIĘŻNICZKA.

Jedna z Teres,
Kiedy kiepski szedł interes,
Ogląda się za zaliczką
I w takie do przechodniów odzywa się słowa:
„A chciałby ty spędzić noc z księżniczkom?“
Kilku rzekło: bywaj zdrowa!
Lecz niejeden z cicha wzdycha

Do takowego z księżniczką karesu
I sięga do pularesu.
I wkrótce powozem w herby
Jedzie Teresa na derby,
Pobiera takie zaliczki,
Że jej zazdroszczą księżniczki.
Jej biografia tłumaczy,
Co to krew znaczy.

BAGNET I SŁOWA KOMENDY.

— Boisz sie sk . . . . . u nadwyrężyć grzbietu?
Gniewne słowa komendy szydziły z bagnetu.
— Łatwo wam gadać w tyle i najgłębszej dziurze,
Bąknął bagnet, że ze mnie sk . . . . n i tchórzę.

ANONS.

Kiedy kona
Opuszczona,
Niesie Panna do gazety
Anons; S. R. napisz gdzie ty?
Skąd chęć i czas się ludziom bierze szydzić z bólu?
Jeden pisze: w Chonolulu,
Drugi znowu pisze: w ulu,
Trzeci: rzepkę sobie skrobie,

Czwarty...
Same takie głupie żarty!
To biedaczce spać nie daje
I chęć zemsty, co stanowi bogów deser
W niej powstaje
I umieszcza anons drugi:
„Pisać gdzie co winien S. R.
G. U. w N. M. płaci długi".
Skąd świat w głupstwa bierze
[wiarę?
Nie upłynęło dni parę
A tu listów ze dwadzieścia.
Jeden pisze: do Krakowa,
Drugi: przysłać mu do Brześcia,
Trzeci: do Lwowa,
Do fabryki „Zdrowia" lewa,
Czwarty: Pstycz koło Bzdyczewa,
Piąty: numer szósty Bracka,
Siódme drzwi na trzeciem piętrze
U wdowy po geometrze.
Siódmy pisze:.. i udała się zasadzka
Bo nie tylko pomstę miała,
Lecz wśród innych, także wieści
O swym S. R. otrzymała.
I jakaż się nauka w tem zdarzeniu mieści?
Poważnej, każdy przyzna, i obfitej treści.

GRACZ I MIEJSCE.

Do gracza,
Gdy się w łożu z boku na bok tacza,
Przyszło miejsce, na którem przedtem przy grze
[siedział,
I szepnie z twarzą wielce frasobliwą:
Czemuś mnie rzucił?
Nie takiem ja złe znowu, jako żywo!
— No to możebym wrócił?
Gracz prędko powiedział.
— Czyżbym ja tutaj było, gdyby oni dalej grali?
Ale chcę powiedzieć tyle:
Za małą chwilę
Po twem odejściu miano na mnie pasę,
Szła razy masę.
Gdybyś był jeszcze pięć minut posiedział —
— Ba, gdybym wiedział!
— Wszystko stąd, że nad sobą brak ci panowania:
Ah, te twoje skakania, wstawania, siadania!
— Może być, że masz racyę, tak, głupstwo się stało!
Rzekł gracz skruszony niemało.
Ale może ty kłamiesz? dodał znów nieehętnie.
Uśmiechnęło się tylko w odpowiedzi smętnie.
— A więc pocóż mnie dręczysz? gracz naraz
[wybuchnął.

Milczenie: gdzieś zniknęło, jakby je wiatr zdmu-
[chnął.
Nie było jednak tworem tylko wyobraźni,
Bo zapach mu właściwy został najwyraźniej.
Potem stróż trzaskał bramą.
Gdym się już uporał
Z bajką, kolej na morał:
Jeżeli nie chcesz z miejscem twojem gadać,
Musisz do kart nie siadać.

CHORY I JEGO RODZINA.

Zebrała się przy chorym troskliwa rodzina.
Zaciera ręce jeden: weselsza dziś mina!
Drugi: puls lepszy. Trzeci: prawda? mniej cię boli?
Czwarty: gorączka jakby opada powoli...
— Jeżeli ma nasz spokój choć trochę na względzie,
Sam przyzna, rzecze piąty, że nic mu nie będzie.
A kiedy się znów wszyscy pocieszeni znacznie
Rozejść mieli, z cichapęk chory konać zacznie.

JĘZYKOWA KWESTYA.

Kiedy wojna wybuchła: „Cesarz nasz kochany!"
Wykrzykiwał chłop w karczmie aż się trzęsły ściany;

„Co on to ma na głowie!“ „G . . . o ma na głowie!!
Kum mu przerwie; od czego ministry, wodzowie? „
A no dobrze; lecz jakoś w sześć niedziel do zwady
Przyszli o konicz w nocy spasiony sąsiady.
Przypomniał w złości pierwszy: czekaj sąd się dowie
Żeś o Cesarzu mówił: g . . . o ma na głowie!
Cała karczma zaświadczy!“ (A wówczas wieszano
I nie za takie rzeczy). Więc nazajutrz rano
Okutego w kajdany powieźli żandarmi
I stanął przed wojennym sądem czwartej armii.
Audytor niemiec polskich niepewny tłumaczy,
Co twierdzili, że g . . . o „nic“ po polsku znaczy,
Zawezwał z Wiednia znawcę słowiańskich języków:
Ten zdolność do podobnych przyznawał wybryków
Polskiej mowie naogół — „ale w to nie wchodzę
Zastrzegł, czyby nie miały być karane srodze.
I tak się chłop wymigał, bo stanęło na tem,
Że rok w dziurze przesiedzi i znów wyjdzie latem.

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Trzeba żeby ksiądz proboszcz dobrze to roz-
[ważył,
Prawił dziekan do plebana,
Że to zbyt siostrzenicę suto wyposażył.

Matko ukochana!
Ździwił się proboszcz, dałem, bo z własnej kieszeni.
A pamięta ksiądz dziekan, jakto na jesieni
Oddałem sto waryatów*) za tuzy dziekańskie?
Nie gniewał się dziekanik, nie, słowo kapłańskie.
Powiedziawszy: hahaha! haha! śmiał się pleban,
Oburącz dzierżąc świój brzuch rozkoleban,
Aż język wyszedł mu od zębów dziurą
Aż i kark nabiegł mu purpurą.
— Proboszczu, rzecze dziekan z widocznym nie-
[smakiem
Śmiać się z własnych dowcipów jest brakiem, hm
[brakiem...
— Matko Boska!
Pleban znowu się zatroska.
To już śmiać się nie wolno z własnego dowcipu?
Protestuję z plebanem, dziekańskiego typu
Ignorując sensatów, coby chcieli sprawić,
By moje własne bajki przestały mię bawić.

STARY ORZEŁ.

Dumał na skale stary orzeł: gdzie
Do snu wiecznego ma położyć się?

*) Waryat = gulden.

Czy najgórniej
Na wysokiej turni?
Czy najgłębiej
W czarnego stawu głębi?
Czy pod bukiem na zielonej hali?
Czy może jeszcze dalej —
Kędyś w równin złotej mgle?
I, aby wybór mógł w nim dojrzeć,
Postanowił raz jeszcze na świat z góry spojrzeć
I ze zmarszczką na czole
Dziś już ciężące mu skrzydła rozwinął
I po niebie bez chmurki popłynął.
I wnet
Tam w dole
W czarniawe plamy skurczyły się lasy,
Przepaści, skały, hale — w jeden grzbiet —
A jeszcze dalej świat się ciągnął gładki,
Ubrany dla okrasy
W pól kratki,
W błyszczące pętle wód.
Odczuwał orzeł trud,
Lecz ostatkiem sił
Jeszcze się wyżej wzbił.
I patrzcie! właśnie w chwili,
Kiedy wam z oczu zginął,
On się już więcej nie sili

Już strefę ciążenia minął
Pierś lekko, lekko oddycha
A w piersi radość cicha:
Pojął, że umarł tej chwili
I że go tchnienie niesie teraz boże.

Lecz to tylko orłowi przydarzyć się może.

UMIARKOWANY.

Ja tam,
Umiarkowany prawi,
Po gwiazdach nie latam,
To mnie nie zbawi.
Ja tam
Natura nie bogatam.
Ja tam
Dla tego światam,
Ja tam
Pieniążki zbiorę
I w porę
Z mocniejszymi się zbratam.
Mówi taki: dla idei!
I potem się wykolei,
Ja tam
Takich figlów nie płatam,
Ja tam

Myślę o sobie
I wiem, co robię,
Ze swoim sprytem na pracę
Zdrowia nie stracę:
Mnie niech pan wierzy:
Grunt sen i stolec, jak się należy!
A że tam żyć nie będę wiecznie,
Czyż o tem myśleć mam koniecznie?!

NATRĘT.

Wiem, że jestem natrętny. — Milczysz — Wiem,
[że w cudze
Źle się jest mięszać sprawy. — Milczysz — Wiem,
[że nudzę.
Milczysz. — Mam coś załatwić, jak ten czas ucieka!
Przytakujesz i milczysz. On z odejściem zwleka
I że go spytasz, co też ma załatwić? czeka.

ZGORSZONA SUCZKA.

— Ale fe! ale fe!
Rzecze pokojowa suczka
Do Kruczka,
Widząc, jak ten iska się.

— Jak to można zjadać pchłę!
Gdyby mię tak zmusił kto,
Brr, na samą myśl mi mdło!
Kruczek milcząc, dalej kłapał
I sapał.
Aż się suczka ze wstrętu zaszyła gdzieś w kąt —
I tam zaraz popod mur
Kłap i kłap i wrr i wrr —
Czy tylko nie widać skąd? —
Wzięła na wybredny kiełek
Po kolei ośm pchełek.
Poczem łasi się panu ogonkiem wzniesionym.
Opowiadajcie dalej tę bajkę zgorszonym.

POKRZYWA.

Widząc jak panna kwiaty do bukietu zrywa,
Mnie się nikt dotknąć nie śmie, mówiła pokrzywa,
Choćby sam król był, jakem pokrzywa, oparzę!
I samotnie uwiędła w kamienistej szparze.

RANA.

— Nie tak bardzo cię bolę! powiedziała rana
Świeżo niemcowi zadana:

Nie patrz źrenicą na mnie taką wilczą.
Bo nie będziesz powodu miał wstydzić się blizny.
Poniosłeś mię dla ojczyzny.
A nasze rany? nasze rany milczą.

CZEGO SIĘ WYSTRZEGAĆ?

Jako mówi przysłowie: w piątek zły początek.
Niedobrze też jest w drogę wybierać się w piątek.
W ten sam dzień nie należy także śmiać się wiele,
Jeżeli nie chcesz płakać w najbliższą niedzielę.
I chociaż w dniu tym nikt ci nic z pensyi nie strąca
Niedobry jest trzynasty każdego miesiąca;
Wogóle zła trzynastka i waryat ten czysty
Kto do wilii zasiada w liczbie nie parzystej.
Niedobrze kiedy świeca sama z siebie zgaśnie,
Gorzej jeżeli w nocy mebel który trzaśnie.
Nie darowuj też szpilek i ostrych przedmiotów,
Bo cię obdarowany znienawidzić gotów.
Przez próg z nikim nie witaj się: bo od człowieka
Witanego w ten sposób to samo cię czeka.
Robiąc kontrakt, nie pozwól pić kontrahentowi
Po sobie, bo się wszystkich twoich planów dowie.
Źle jest w karty wygrywać, gdy chcesz miłość [zyskać,
Gorzej gdy cię przy kartach żona zacznie ściskać.

Niedobrze stłuc zwierciadło i nadzieja słaba,
Kiedy ci przetnie drogę zając, ksiądz lub baba.
Niedobrze śnić o zębach, fatalnie o dziecku,
Z wyjątkiem, że pies szczeka w tym śnie po niemiecku.
Co kraj i obyczaj — a więc w obcym kraju
Pilnie zbadaj, przed czem się strzedz jest tam
[w zwyczaju
I równie jak ojczyste szanuj te przestrogi:
Inaczej lepiej było nie stawiać tam nogi.
Lecz jeśli chcesz pozostać przy życiu i zdrowiu,
Nie patrz — radzę ci z Twainem — na księżyc
[na nowiu.

NIEUFNA ŻONA.

Oddawna groził żonie, że sobie w łeb palnie,
Jeźli go tak dręczyć będzie,
Nie wierzyła naturalnie
W żadnym względzie;
Nie wierzyła do ostatka,
Nawet gdy zadyszana przybiegta sąsiadka:
„Mąż pani, mąż!...“
Powtarzając w kółko wciąż.
„I cóż mój mąż?“
„Powiesił się i już go zdjęli.“
„Jakto? on zawsze mówił mi, że się zastrzeli.

WISIELEC I JEGO SYN.

Widząc, jak się wykrzywił i jak pot zeń ciecze,
Do syna chłop wieszany ze szafotu rzecze:
„Jeżeli cię już takim wstrętem to napawa,
Odszedłbyś—a obrzydzać drugim nie masz prawa.

CHMURKA I GŁAZ.

Przekład z Lermontowa.

Złotą chmurkę zmorzoną wieczorem
Miał na piersi głaz olbrzym do rana;
I znów dalej ruszyła wyspana,
Z lazurowym igrając przestworem.

Lecz staremu głazowi ślad po niej
W jednej zmarszczce pozostał wilgotny;
Duma nad czemś i duma samotny
I cichutko płacze w swej ustroni.

RYBAK.

Zoczywszy tonącego we Wiśle człowieka,
Idący brzegiem rybak z ratunkiem nie zwleka:
Ze życia narażeniem w toń się zdradną rzucił,
Wyciągnął, trze, przewraca, sam się zgrzał, ocucił.
„Zbawca, szepnie topielec, otwierając oczy,
„Niechaj tobie odpłaci Bóg twój trud ochoczy—

„Ale jeszcze mi twojej pomocy potrzeba:
„Zaprowadź gdzie do ciepła i ah! użycz chleba!
„Nie dałeś mi utonąć, nie daj umrzeć z głodu“.
„A skąd ja do takiego przychodzę zachodu?“
Odpowiedział mu rybak, popatrzywszy krzywo.
I odszedł. Nie wierzycie? Odszedł, jako żywo.

PODUSZKA.

Kiedym w łóżku przewracał się napół przytomnie:
— Wszystko do ciebie gada!
Poduszka rzekła do mnie:
Od książnej do dziada,
Od lisa do osła,
Od chwastu do róży,
Od szkła do powrósła
Od wiatru do cienia
Od ognia do burzy,
Od skry do kamienia,
Od szafy do stołka
Od dziury do kołka,
Od bielizny (głos zniżyła skromnie)
Aż do mnie.
I pewnie, kiedyś śpiący, gniewasz się: ki licho!
Nie będzie raz cicho?!

BĄK.

Gdy dzieci bączka świeżo dostały,
Wszystkie go chciały,
Sto razy dnia
Krzyczy Zosia, Janek, Tolo:
Ja teraz, teraz ja!
Ach, jak to miło pomiędzy zgrają
Gdy podziwiają,
Kręcić się niewolą,
Buczeć dopóki starczy tchu:
Bu-u, bu-u, bu-u, bu!
Więc czeka tylko bączek, kto nim znów zakręci.
... Lecz później jakoś wyszedł dzieciarni z pa-
[mięci.

CZŁONEK AKADEMII.

W antrakcie, zdaje mi się, premiery „Wesela“
Powiedział jeden stary pan do przyjaciela:
Kto pojmie te dziwactwa jedne za drugiemi,
Kiedy ja nie pojmuję, członek Akademii“.

PANTEISTA.

— Ziemia mi matką, ojcem słońce,
Wiatr, ogień, życie pod wszelką postacią
Są moją bracią.

I siostry mam w pachnącej łące,
We wodzie i w pustyni!
Tak mówił panteista
— Proszę, proszę, oczywista,
Tlen i wodór, są pańscy kuzyni?
Na te słowa on się krzywi
I powiada, że się dziwi,
Jakiem prawem?
A ja, by uniknąć sprzeczki:
Niech pan czyta me bajeczki
To się dowiesz niezabawem.

KRZAK RÓŻY.

... Przy nim, przy krzaku róży,
Co niczem nie był więcej,
Przy nim została najdłużej,
Przez kilka letnich miesięcy.
Iż liście miał najzieleńsze
Przez kilka letnich miesięcy,
Iż kwiaty miał najczerwieńsze
I że kochać umiał najgoręcej.
Cały świat kocha wiosnę,
Nią wszyscy zachwyceni:
Lecz jego ramię zazdrosne

Tuliło ją aż do jesieni,
Im dwojgu swą ostatnią
Piosenkę słowik śpiewał,
Ich w swoją noc ostatnią
Świetlik olśniewał;
Im brylant swój ostatni
Podarowała rosa,
Im uśmiech swój ostatni
Posłały złote niebiosa,
Kiedy wiatr chmury przypędził
W jesieni,
Ich pierwszy mróz oszczędził
I wciąż się nowa róża im czerwieni.

Lecz wreszcie im na zdradzie
Świt jeden stanął nagi
W posępnym listopadzie
I zmusił do rozwagi.
Zmusił ich do rozwagi
I łzami zaszedł im wzrok
I rzekli sobie: na przyszły rok.
O! ja to znam! —
Krzak róży został sam.

I cokolwiek się wokół działo po rozstaniu,
Czy w słomę go ubrano, czy śnieg sypał cichy,

Czy dźwięczny mróz roztaczał swych blasków
[przepychy:
Pół zimy tęsknił a pół marzył o spotkaniu.

Długie miesiące był bez żadnej wieści,
Oprócz własnego chyba serca drżeń
I oprócz snów.
Lecz przyszedł dzień —
O! to się w żadnym słowie nie pomieści —
Gdy posiadł pewność, że ją ujrzy znów:
W jedno do innych podobne południe,
Zadumanemu jak zwykłe odludnie
Wiater to przyniósł jej ciepło i zapach.
I chociaż przerwa była potem długa,
Zanim wiadomość przyszła znowu druga,
Choć jeszcze wody lód więził w swych łapach,
Choć nikt nie czekał jeszcze oddalonej:
Odtąd krzak róży był jakby szalony.

I coraz bardziej szalał z każdym dniem,
Za każdym nowym od południa tchem,
Za każdą z śniegu wystającą grudką,
Za każdym ptakiem ujrzanym na krótko,
Za każdą z dachu znikającą soplą,
Za każdą świeżo wzbierającą kroplą.
I trudno pojąć, jak doczekał chwili,

Kiedy ze słomy go wyswobodzili,
Kiedy z brunatnych pól,
Szarozielonych smug
Ze lśniącej niebios czary
I z mętnych strug
Pobiegły naraz gwary
I świat zabrzęczał jak ogromny ul —
A on wsłuchiwał się na pół omdlały,
Jak powitania coraz się zbliżały,
Bliższe i bliższe, już tuż tuż
I przed nim, przed nim ona staje już.
I słyszy z ust jej coś nakształt westchnienia;
Zrozumiał, że to były słowa tłumaczenia,
Bo odwróciła głowę i w jej oku
Był jakby wstyd.
Chciał mówić — pytać — błagać i usłyszał: pst!..
Jej spłoszonego kroku.

Krzak róży uwiądł tego roku.

GRAB I BRZOZA.

Małżeńskiem węzłem ze sobą związani
Grab z brzozą żyli od szeregu lat.
Ale nie zawsze dobry bywał dla niej,
Sam przedewszystkiem rozpierać się rad.

Dla niego ziemi soki najsmaczniejsze,
Niebios najczystsze światło było dlań;
Względy miłości najdelikatniejsze:
Wszystko przyjmował jak należną dań.

Nic też dziwnego, że smutniała brzoza
I siły zwolna opuszczały ją.
I kiedy wicher zerwał się z powroza,
Niewiele trudu zadał sobie z nią.

Nazajutrz ludzie zabrali jej ciało,
Gałązki, liście uprzątnęli w mig —
I miejsca po niej dla graba zostało
Cokolwiek więcej, niż wymagać zwykł.

BIEDNA WDOWA.

Kiedy straciwszy męża, objęła majątek,
Chłop do niej pogorzelec przyszedł na początek;
Prosi o drzewo z lasu. „Niech Pan Bóg zachowa!
Ile to klęsk! — westchnęła — jam też biedna
[wdowa!

DZIECI.

Tak mi się śniło,
Jakby naprawdę było:

Piękną aleją,
Niziutko nad drogą
Jechałem na kiju błogo,
Wiosłując prętem leszczyny,
Na którego końcu dwa listki się chwieją.
I ani się spostrzegłem, gdy o metrów parę
Uniosłem się nad ziemię w szpalerową szparę.
Wtem bez przyczyny
Dzieci gromada
Na mnie napada
I żerdzią długą
Ku mnie wywija,
Żeby mnie strącić z mej łódki - kija.
Com im zawinił mą żeglugą?
Krzyknąłem z góry.
Niech poczekają, jak wyląduję...
Dobiorę się do ich skóry.
Lecz kiedy czuję,
Że równowagę tracę
I ich zabawę kalectwem przypłacę
I już o życie się nawet obawiam:
Do ich rozsądku, do serca przemawiam.
Ale poznajcież owo niewinne
Serce dziecinne!
Dzieci go wcale nie mają —
I im ja więcej proszę, tem żwawiej spychają.

Już zaplątały mię w gałęzie drzewa,
Już we mnie trafia kamieni ulewa,
Wreszcie w powietrzu kozła robię
I lecę i jakimś cudem
Nic nie zrobiłem sobie.
Wstałem ze ziemi z pewnym trudem,
Lecz gdy się raz podniosłem,
Dalejż dzieci okładać i łódką i wiosłem.
Zaskoczona banda płocha
Przestała śmiać się i wyje i szlocha.
I wnet wróciła mi wymowa
I w te się do nich ozwę słowa:
Dzieci! oduczcie się tego niestatku,
By sobie życzyć cudzego upadku!

SAMOBÓJCY.

Obwieś widząc że obwieś poszedł się sam wieszać,
Śmieszny widząc że śmieszny sam się chciał
[ośmieszać.

ISKRY I DYM.

— Chodź siostrzyczko, baw się ze mną
Taka śliczna gra!

Ja się schowam tam, gdzie ciemno,
Rzekła skra
I już ciągnie drugiej dłoń:
A ty goń.
Druga za nią, za nią trzecia
W śmiech i krzyk
I rój iskier nakształt kwiecia
Rozsypał się w mig.
Wtym nakazał ciszę dym —
Jak to można być tak złym.

POTRZEBA ULEGŁOŚCI.

Spuścił pan psa ze smyczy,
Bo kwiczy.
Zresztą pies młody
Musi mieć trochę swobody.
Uszczęśliwiona sobaka
Z początku koło nóg mu skaka,
Aż po kołnierza futro bobrze,
„Hop, hop, dobrze, bardzo dobrze!“
Lecz poźniej coraz szersze zataczając koła,
Wtyka nos, gdzie tylko zdoła.
Trudnoż wśród ulicznego tłoku
Mieć ciągle psa na oku.

Pan gwiżdże, woła,
Klepie się po udzie:
Daremny trudzie!
Kiedy myśli, że pies został w tyle
I bezskutecznie za nim się ogląda,
On ogonem kręcąc mile
Sto kroków naprzód niby czeka,
Czy pan czego nie zażąda —
Ale na pański świst daje drapaka.
I za jakimiś andrusy
Sadzi potężne susy.
Jeszcze kto skradnie łajdaka!
Cóż robić? Choć to komicznie,
Biegnie pan środkiem ulicy
Z czapką na bakier
Niemal pod fiakier
I dychając astmatycznie
W bramie jakiejś kamienicy
Zaczajonego w pół skoku
Psa dopada.
„Mam cię smoku!"
Zaraz mu smycz zakłada
I dodaje z miną srogą:
„Teraz mi pójdziesz za nogą!"
Po pana apostrofie i ja swoją palnę —
Przy końcu bajki jest to przecie naturalne:

Psie! chcąc pobiegać, musisz nie odbiegać!
Człowieku! níe chcąc uledz, musisz wciąż ulegać!

TOŻ SAMO.

Macie odciski? — To się dobrze składa,
Bo chcę wam o nich coś opowiedzieć:
Wszak znacie tego z naprzeciwka dziada?
Młodą kobietę wziął, trzeba wam wiedzieć.
Bywam tam czasem — i raz spostrzegłem,
Jak młoda żona nibyto z pustoty
Stawia mu nóżkę na odcisku —
Chociaż nań biły siódme poty,
Przyjął igraszkę z uśmiechem uległym,
Nie syknął nawet: tak chciał być przebiegłym.
No i powiedzcie, co wziął w zysku?
Mówi mi — nie dalej
Jak dzisiaj — stróżka, co w piecu mi pali,
Że bierze teraz od żony po pysku!

DYMEK Z PAPIEROSA.

Dymek z papierosa, wierny i cichy
Towarzysz zadumania,

Co rytmiczne tocząc kręgi,
Pomógł do napisania
Niejednej księgi,
Próżen był pychy.
I kiedy snując swe błękitne wstęgi,
Smutek złagodził,
To bez szemrania
Wnet z oczu schodził —
On, dymek lichy.

SPLEŚNIAŁY SUCHAR I ROZBITY PUHAR.

— Głodno będzie,
Bowiem już mój wikt
Nikogo nie nasyci!
Rzekł spleśniały suchar.
— Smutno będzie,
Bo już ze mnie nikt
Swej duszy nie zachwyci!
Rzekł rozbity puhar.
Obaj byli w błędzie.

BULDOG.

Póki na zapytania wszystkie buldog warczał,
Ciągłego tem podziwu przedmiot psom dostarczał.

Lecz zwiesił wargę buldog, gdy ktoś szczeknął
[w tłumie:
— Warczy na zapytania, bo ich nie rozumie.

LEKARZ.

— Jak można takie pudło posłać po lekarza!
Rzekł doktór do hrabiny. Pani mnie obraża:
Raz posyłacie po mnie zbytkowną karetę...
— Fe! jak można doktorze krzyczeć na kobietę!
Przerwała mu hrabina; niechże pan posłucha
Wtedy do siebie, — dziś go wzywam do pastucha.

STRACHAJŁO I NIEBÓJ.

Zaledwie żydki dały hasło do popłochu,
Zaczął sąsiad Strachajło zbierać się po trochu:
Lecz nim z domu wyruszył, biegnie do Nieboja
Naradzić się z sąsiadem. „Zostać: rada moja.
A któżby tak zostawiał, jeśli nie szalony,
Swą własność na zniszczenie i w obce szedł strony
Cudze kąty wycierać, gdzie go ledwie cierpią —
A co mówić, gdy grosze w końcu się wyczerpią?“
„Prawda to...“ „Więc zostańcie, zbywszy gęsiej
[skórki!

Zostajecie?“ „Pomyślę... Mam żonę i córki
I ciężką wadę serca... A Sąsiad co robi?
Tak — lekkiem sercem — wroga się przyjąć
[sposobi?“
„Cóż robić! ja i moi: nikt się stąd nie ruszy
I wam tego samego życzę z całej duszy.
Przecie nas tu nie zjedzą bez pieprzu i soli
A i Pan Bóg nam zginąć może nie pozwoli —
A źle będzie (mówię to przy żonie i dzieciach)
I najgorsze znieść łatwiej, gdy na własnych
[śmieciach.“
Rozeszli się — a tu natłok fur na drodze wzrasta
I jeszcze w nocy drapnął Strachajło do miasta.
Z miasta dalej.
Coś w tydzień gdy się zbiegom w uszy
Dobrze nalało wszelkich podróżnych katuszy,
Gdy ze żalu, że uszli, szarpią się za włosy
I Nieboja wynoszą rozum pod niebiosy,
Z nim samym się zderzyli na stołecznym bruku:
Nie znosi (skąd miał wiedzieć) armatniego huku.

KOLEDZY.

Bacząc na wszystkie strony,
Czy nie jest śledzony,
Jakby robiąc własnych ruchów szkic,

Żołnierz na stryszek chyć, chyc, chyc.
Zdala spostrzega
Go kolega:
„Czort zna,
Co on tam ma!“
I bacząc na wszystkie strony,
Czy nie jest śledzony,
Jakby robiąc własnych ruchów szkic
Na stryszek chyc, chyc,
Wylazł i woła.
Cisza dokoła.
Nie znalazł nic.
(Już od tygodnia niebyło zapałek:
Kilka miał kucharz, miał je może feldmarszałek).
Ledwie wlazł drugi, już trzeci chyc!
Wylazł i woła.
Cisza dokoła
Nie znalazł nic.
Za trzecim czwarty,
Już stryszek trzeszczy nie na żarty.
Gdy się spotkali
Szukają razem dalej.
Coś tu być musi, rzecz wiadoma,
Ale tymczasem słoma i słoma.
Nie chcą nim znajdą, odejść wprzód.
Zmacali w słomie but,

Ciągną i wreszcie wyciągli pierwszego.
„Co tu masz kolego?“
„Ja... nic“
„Więc co za wic
Leść tutaj chyłkiem
Na darmochę?“
Odrzecze pierwszy im z wysiłkiem:
„Ja... chciałem bez kolegów przedrzemać się
[trochę.“

SZKIC BAJKI.

„Dudek na siebie wziął pióra pawie“
Oto już bajka gotowa prawie,
Rozwałkować ją: niewielka sztuka,
A morał do mnie oddawna puka:
„Z wielką dla kraju naszego szkodą
Wszystko się dzieje w nim obcą modą
Grają w „okszena“ grają w „pokera“
I „bakarata“ że aż wstręt zbiera.
Czemuż to „dureń“ nie jest na czasie? —
Bo w „durnia“ tylko o rozum gra się“.

JABŁUSZKO.

Jabłuszko na pniu chciało raz już dojrzeć,
Porzucić jabłoń, zaznać nowych wrażeń,

Odważnie w mroczne oko życia spojrzeć!
Przyszedł nareszcie czas spełnienia marzeń:
Soczyste jabłko runęło z gałęzi,
Lecz wyzwalając się z młodości więzi,
Na pierwszy męskości gościniec,
Wyniosło siniec.

OSET I RÓŻA.

Oset niezdarny cieleśnie i moralnie
Nie znosił naturalnie
Pąsowej róży;
Więc bez wytchnienia ją śledzi,
Aż oczy mróży;
Wysila się i biedzi,
Aż schnie z tęsknoty,
By dostrzedz w niej ślad swej brzydoty.
Mam cię! raz syknie z niezmierną pogardą
Ech ty różyczko! nie bądź taką hardą,
Bo już wiem wszystko: ty masz kolce także!
Zupełnie jak ja! — a jakże!
Żnam więcej chwastów, co się z tego cieszą,
Że piękne róże przecież cierniem grzeszą.

PAJĄK.

Cieńkonogi pająk poczuł raz dreszcze
Zapału, polot i natchnienie wieszcze;
Dumnie zawoła: poczekajcie jeszcze
Stworzę ja epos, dramat... czy balladę,
Bo jakoś do niej wielką czuję swadę!
Wnet już przestanę być zerem!
To rzekłszy biegnie do sklepu z papierem,
Żąda dwie libry, flaszę z atramentem
I, powołaniem swem przejęty świętem,
Kupuje pióro ogromne.
Odtąd na coraz wyższych nóżkach chodzi,
Bo coraz głębiej w snach, marzeniach brodzi;
Aż głupie muchy widzą, jak niezłomne
Pająk zamiary ma poetą zostać,
Ba! sławą Getemu sprostać!
Czy co napisał? — Owszem, lecz mimo najszczer-
[szej
Chęci, jeszcze nie znalazł wydawcy swych wierszy.

BRUTALNY KIJ.

Po drzemce, zwlókłszy się z łóżka,
Chciała podreptać staruszka;

Lecz ze zgrabiałej ręki kij jej się wysunął
I z łoskotem bum — rrrum runął.
Wraz równowagi babunia pozbadła
I na podłodze, jęknąwszy, usiadła.
Kij zasie rzekł do siebie, tocząc się ku szafie:
I ja także brutalem być czasem potrafię!

INDYWIDUALISTA.

W tem mój urok, że śmierdzę! przemówiło w trawie,
W tem się bowiem od kwiatów różnię oryginalnie,
Zaś być oryginalnem jestem w świętym prawie!
Kto nos zatykasz, grzeszysz kardynalnie,
Przeciw duchowi czasu, jesteś głupiec, wstecznik,
Z którym nie mam co gadać ja, swego ja rzecznik.

MYŚLIWY I SARENKA.

W noc letnią, powietrze było parne,
Zdało się łowcy, że ujrzał sarnę,
Sarenkę gibką o lekkim kroku,
Szlachetnej główce i smutnem oku.
Z bijącem sercem, zapartym oddechem
Sunął myśliwy ku sarnie

Lecz gdy się do niej zbyt namiętnie garnie
Zgrzeszył pośpiechem:
Stąpił na gałąź i aż stanął z trwogi,
Że hałas spłoszy sarnę między głogi
I gęste haszcze, gdzie jej nie zobaczy
Więcej — tymczasem
Sarenka nie strwożona bynajmniej hałasem
Ani myśli umykać! Cóż to znowu znaczy?!
Zdziwił się łowca, lecz się nie ucieszył.
I szedł spokojniej i już mniej się spieszył
Do sarny tak dziwnie odważnej.
Gdy podszedł blisko, już całkiem poważny,
Bo już z pomyłki przedsmakiem, —
Zobaczył owcę za krzakiem.

OSIOŁ.

Kto się głupim mieni,
Wnet w mędrca się zmieni.
Choć wiele przekracza,
Głupcu się wybacza.

Słysząc te zdania, wygłaszane wszędzie,
Wpadł jeden osioł na pomysł wyborny:
Już nikt mi więcej dokuczać nie będzie!
Ogłaszam bowiem: głupi jestem i niesforny!

Obwieszczenie w drzewie ryję
I zawieszam je na szyję;
Gdy zawieszę: hulaj dusza
Bez kontusza!

HISTORYA DĘBU.

Na rogu cmentarza
Stał dąb.
Jedno z potężnych ramion stracił.
Wiatr zasiał zrąb.
Rósł na nim jesionek i brzoza
I sporo kwiecia i traw.
Sokami dębu żyło bractwo,
Nie zważał na to dąb.
Młodzieńczych doszedłszy lat,
Jesionek brzózkę ukochał
(Przedtem ją kochał jak brat).
Lecz brzózkę podziwem przejmował
Wyniosły dąb:
Gdyby choć spojrzał na mnie,
Na biedną, ach!
Gdybym mógł uciec stąd,
Myślał jesionek, i pójść
We świat, szeroki świat!
Tutaj mię truje z łaski dębu chleb!

Takto na wonnych smutkach
Upływał czas
Jesionkowi i brzózce.
Nie zważał na to dąb.
Aż raz
Zawyła straszna burza,
Chwiał się wśród walki dąb
I poczuł, że ulegnie,
Nie! że ulega już!
W ostatniej chwili spojrzał,
Dostrzegł roślinek garść
Przytulonych do niego;
Zrobiło mu się żal,
Że to biedactwo zgubi
Jego ogromny zgon.
Zrobiło mu się żał.

Nazajutrz na darni cmentarza
Ścielił się dęba trup.
Jesionka i brzózki ni śladu,
Jeden ich pokrył grób.

SPRAGNIONY CHŁOPIEC.

Napić się wody
Chciał chłopiec młody

I ujrzal ją,
Jak z wysoka,
W promieniach słońca,
Zimna i jasna
W cienistą głębię
Spływała.
Więc by ochłodzić
Spragnione usta,
Rzucił się prędko
Ku wodzie.
Lecz, choć ponętna,
Była niedostępna —
I chłopiec powrócił
Z niczem.
W bagnach w pobliżu
Była kałuża;
Do niej łatwo dojść można.
Chłopiec pomyślał:
Przecież jest woda,
Choć mętna i paskudna.
Nie mogę czystej,
Tej się napiję,
Choć mętna i tak brudna.

LISTEK I WIETRZYK.

Umizgał się wietrzyk
Do gładkiego listka,
Co chwiał się powabnie
Na drzewie.
Listek, choć lubił
Cichutkie poszumy,
Nie dał się unieść
Namowom.
Wtem przyszedł wicher
Potężny i groźny —
Listek aż zadrżał
Od trwogi...
Lecz dał się porwać
Silnym ramionom,
Pokornie z wichrem
Popłynął.

BOHATERKI I BOHATEROWIE MOICH BAJEK I JA.

Uchylam drzwi do jednej sali
Lecz nie odrazu włażę,
Bo jakieś znajome twarze.
Patrzę i patrzę i dostaję ponsów:

Mych bajek bohaterki i bohaterowie
Tu się zebrali:
Siedzą rzędem zgorszeni, oryginalnych mrowie,
Jest bączek, nie zabrakło wiatrów ni anonsów.
Siedzą słowa komendy i książki i krytyk,
Biedna wdowa, ze żoną młodą mąż polityk,
Pończoszki lgną do nóżek, jaśnieją brylanty
Już oszlifowanemi z dawien dawna kanty.
Pomiędzy książniczkami zasiadła Teresa
A cnota i występek z dwu stron Herkulesa.
Jest gracz ze swojem miejscem, z siostrzenicą [pleban
I buldog od niedawna w opinii pogrzeban.
Obwieś ze śmiesznym siedzą samobójcy
A wiewiórka dopełnia tej ponurej trójcy.
Jest osioł i myśliwy, pies i chłopiec młody,
Bokiem do czystej, przodem do paskudnej wody,
Puszczyk i słowik, ich znajomych kółko,
Jest także oset z różą, swoją przyjaciółką.
Jest nątręt, jest lis prorok, jest umiarkowany.
Jednem słowem, dziwnym trafem
Wszystkie moich bajek stany
Czynią wrzawę. „To pachnie, słyszę, paragrafem!“
„To pachnie kozą!“
Dowiaduję się ze zgrozą.

— Rozdeptać jak robaka! radzi biedna wdowa.
— Niedopuścić go, książki hałaszą do słowa!
— Ja mu pokażę jak wygląda przytyk!
Już naprzód sam do siebie uśmiechał się krytyk.
Że nazbyt łatwo u mnie się rozczula,
Szydziła mężna kula
—No czego on chce od nas, powiedz mój kochany?
Swego sąsiada pytał się umiarkowany.
Używali zaś zdrobnień nawzajem bez liku:
Słychać było, książczusiu! wdowuś! natręciku!
A prawda! zapomniałem brutalnego kija —
A właśnie groził, że mi zęby powybija
Z pogardą w pustą przestrzeń patrzyli ulegli.
Chciałem się tedy cofnąć: zapóźno! spostrzegli.
Myślę: jakim tu teraz ratować się gestem?
Myślę i mówię do nich: proszę państwa, jestem.

NA ZAKOŃCZENIE BAJEK.

Dzięki Ci Panie Boże, że mi dałeś możność
Tak piękne bajki pisać, tak odsłaniać zdrożność,
Rymy tak nowe znaleźć, szydzić z takim taktem:
A jeżelim w czem zbłądził, z Twoją wolą brak ten.

FRASZKI MIŁOSNE I POWIASTKI

SPIS

FRASZEK MIŁOSNYCH I POWIASTEK.

DEDYKACYA.

Chcesz odemnie wiersza,
Bo inne go miały —
Ja go nie mam pierwsza,
Nie kochasz mnie mały!

Skoro mi tak zrzędzisz,
Dobrze: zlecą gradem,
Że się nie opędzisz
Przed brzęczącem stadem.

1.

Pod tą brzozą w dni gorące
Usta dała mi pachnące;
Chociaż później przyszły mrozy,
Wciąż powracam do tej brzozy.

2.

Kocham ciebie radośnie
Jak malarz farby,
Kocham ciebie zazdrośnie,
Jak skąpiec skarby.

Kocham ciebie pieściwie
Jak Eros Psychę,
I kocham ciebie mściwie,
Jak pyszny pychę.

3.

Ludzie mówią, że twe oczy
Zielone,
Mówią też, że masz z warkoczy
Koronę.

Mówią także o twym nosie
Że zgrabny.
I o twoim mówią głosie:
Powabny.

A ja mówię: próżna chwała!
Ni cienia.
Prawdy na tem, boś ty cała
Z promienia.

4.

Oh, umieliśmy się kłócić
I stąd nieraz było smutnie.
Gdybyż dzisiaj mogły wrócić
Te kłótnie.

5.

Nim odjedziesz w obcą dal,
Masz na drogę róże dwie:
Jedna niech łagodzi żal,
Druga niech wspomina mnie.

Czemu nie chcesz pierwszej wziąć,
Czemu mi ją oddać chcesz?
O, najmilsza pewna bądź:
Drugą będzie dla mnie też.

6.

Lubimy dobrze zjeść,
Lubimy w karty grać,
Lubimy nocy sześć
W tanecznem kole trwać.

Lubimy przespać dzień.
Oboje rano źli —
A gdy zapada cień
Obojgu wzrok się lśni:

Gdy tyle łączy nas,
Czemuż seic płomień zgasł?

7.

U figury drogi cztery,
Cóż na jedną patrzysz wciąż?
Nadskakują kawalery,
Nie powraca mąż.

U figury drogi cztery,
Każda wiedzie w inny kraj,
Słodkie stamtąd biegną szmery,
Chłopcom usta daj.

8.

Na cmentarzu grób, przed ołtarzem ślub,
Biały na mnie strój,
Jeśli słyszy tam, niech rozstrzygnie sam
Ten dawniejszy mój?

Z dołu wieje chłód; nie rzucajcie gród,
Duszę, duszę się.
Kto mi poda dłoń, przytulę się doń,
Jego tylko chcę.

9.

Lećcie piosenki
Do mojej miłej;
Pijcie z jej ręki,
Skąd ptaszki piły.

Ptaszki na gniazda
Zdrowo wracają,
Piosenki moje
Martwe padają.

Lepszaś dla ptaszków,
Lepsza niestety —
Posłuchaj miła,
Posłuchaj mnie ty:

Są ptaszki małe,
Co z ręki jedzą,
Lecz są też sępy.
Co w górach siedzą.

Siedzą i ostrzą
Na skale dzioby
A potem skałę
Dziobią dla próby

Są małe piosnki,
Co łaski proszą,
Lecz są też pieśni:
Dumnie się noszą.

Noszą się dumnie
A gdy są gniewne
Zadają ciosy
Mocne i pewne.

Tym teraz lecieć
Do ciebie każę,
Gdy masz dla małych
Truciznę w darze.

10.

Lubi źródło, gdy zeń piją,
Choć później zamącą,
Lubi dziewka, gdy ją pieszczą,
Choć później odtrącą.

Nie brak w źródle wody świeżej
Osadzi się mąt,
Jeden poszedł, drugi bieży
I pić będzie stąd.

11.

Co dzień stoję długo na rozdrożu,
Co noc szukam ciebie w moim łożu.
Co dzień ówdzie ciebie się spodziewam,
Co noc łzami tutaj się zalewam.

12.

Złote włosy, grzebień złoty,
Czesz się, miła, czesz,
Porozplataj swoje sploty,
Ciesz się nimi, ciesz.

Biały klasztor, welon biały,
Grzebień złoty rzuć,
Złote włosy się splątały,
Smuć się miła, smuć.

13.

W obce mi strony ślę ci pozdrowienie,
Bólem przejęty,
Pozdrów odemnie też swe otoczenie,
Ludzi i sprzęty.

Te drzewa, których cień osłania ciebie,
Nieznane drzewa,
Niebo nad tobą i ptaka na niebie,
Co tobie śpiewa.

Powiedz, że ufam wodom tam płynącym,
Powiedz to ziemi
I nie zapomnij o kamyku tkwiącym
Przed stopy twemi.

A jeśli smutno ci będzie potrosze
Na słów tych skutek,
To w takim razie jeszcze cię poproszę:
Pozdrów ten smutek.

14.

Niechaj dusza moja wyjdzie ze mnie
I śród gwiazd się kędyś spotka z twoją!
Ciała dzieli przypadek nikczemnie,
Niech więc dusze ze sobą pobroją!

15.

Myślałem: eh!
Czy ona jedna?
Popłacze biedna
I znajdzie trzech.

Stało się, Eh,
Odtąd mi żadna
Nie była ładna.
Kochać je? śmiech.

Przeklinam eh!
Chwilę narowu
I radbym znowu
Zastąpił trzech.

16.

Dziecko się całuje wszędzie
A tyś czystsza niźli dziecko
A tyś czystsza niż łabędzie
I rzeźbę zaćmiewasz grecką.

Daj więc wolność ustom moim,
Niech w przesłodkim mkną obłędzie
Po tem cudnem ciele twojem
I całują wszędzie, wszędzie....

17.

Zostawiłem ją na ławce,
Tak mi stała się nieznośną.
Anim się oglądnął nawet
I odszedłem, gwiżdżąc głośno.

I chodziłem, coraz dalej
Złości dając się unosić. —
I stanąłem i zważyłem,
Że już teraz będzie dosyć.

I pobiegłem by uściskać
Jaknajprędzej moją małą —
Ale ławka była pusta —
Zdarte tylko źdźbło zostało.

18.

— Po najrozleglejszem błoniu
Na wysokim jeżdżę koniu:
Wsie i miasta, rzeki, góry,
Morza, puszcze, wicher, chmury,
Piorun, słońce, księżyc, gwiazdy
Mijam podczas mojej jazdy.
Mijam ludzkie pokolenia,
Mijam wieki, dzień stworzenia,
Dalszej drogi plan układam —
I przy tobie z konia zsiadam.

19.

— Wleciał, wiatr okno przymknął, o szybę się [zabił
I jeszcze mnie z twych pieszczot swą śmiercią [ograbił.
— Bo gdy dotąd miłości naszej śpiewem sprzyja,
Dlaczego w mym pokoju ptaszek się zabija?

20.

Rytmu szukam, co się kłoni
tak —
o gibko
Jako, gdy nad wodą goni
ptak
za rybką,
Bo osnową tej piosenki
dąs
mej małej,
Oczu, czoła, ust, i ręki
pląs
zuchwały
Jako, gdy nad wodą goni
ptak
za rybką!
Rytmu trzeba, co się kłoni
tak —
o gibko.

21.

Jest mi tak, jak kiedy smutno,
Jak gdy młode, sztywne ciało
Orzucają milcząc w płótno,
Jak gdy przyodzianej biało
Mniszce warkocz lśniący utną,
Jak gdy dzieło się rozchwiało,
Tknięte ręką bałamutną,
Jak gdy wiele głów, serc mało —
Jest mi smutno, smutno, smutno...

22.

Jeśli żyć przyjdzie w utęsknieniu takiem,
To dusza wzleci kiedy nocnym ptakiem,
Kraje niezmierne przed świtem przebędzie
I pod twym domem półżywa usiędzie.
Potem w ciemnościaeh okno twe odszuka —
Ale do twoich szyb już nie zapuka.

23.

A to mi są pięty!
Obie schowam w pięści.
Dobrze, żem je poznał:
Pocałuję częściej.

24.

Wpadły mi w rękę twoje zapiski,
Których mi nigdy czytać nie dałaś,
O których nawet mi nie wspomniałaś.
Czytam zaledwie widoczne kreski:
„Piątego grudnia... czemu mój miły
Gniewa się na mnie? to nad me siły“.
„Wilia jutro... na imieniny
Zrobić mu bliny — on lubi bliny“.
„Dwudziesty stycznia... Dziś był wesoły.
Trzebaby spalić raz te gryzmoły“.
Znów inna data: „Czemu mi kwiatów
Teraz nie daje? Nie rób dramatów
Z takiej drobnostki“. I znowu inna:
„Z nim nie powinnam być tak dziecinna“.
„Matka się chwali, że w niej bez zmiany
Ojciec dotychczas jest zakochany“.
I znowu: „nie, on nie może kłamać
A cóż dopiero przysięgi łamać!“
„Dzisiaj go dłużej wieczór zatrzymam,
W dzień się rozmówić z nim czasu niemam“.
I tak bez końca... „Przyniósł mi pierwsze,
Dla mnie pisane prześliczne wiersze!“
O, kiedy twoje karteczki widzę,
Ja z moich wierszy miłosnych szydzę
I, odczytując twoje zapiski,
Do nóg twych padłbym i płaczum bliski.

25.

Ktoś tam mówi o mych piosnek
Małym diapazonie:
Czyż to można o miłości
Trąbić na puzonie?

26.

Mam ja od ciebie niemało przedmiotów,
Miłości naszej pamiątek
Jeszczem je kiedy wszystkie zniszczyć gotów,
Żeby nie został ni szczątek,

Bo z ich widoku nieprzytomność taka
I tak mi serce się ściska,
Jakgdyby chlebem głodnego żebraka
Drażniono dla pośmiewiska.

Nie, nie chcę zniszczyć! zniszczyć nie potrafię!
Ale nie patrzę już na nie —
A zwłaszcza na tę twoją fotografię,
Gdzie patrzysz tak zadumanie...

27.

Co mi po sławie, gdy po śmierci przyjdzie?
Co mi po waszym żalu, waszym wstydzie?

I cóż, że ona kilka łez uroni
Nad piosenkami pisanemi do niej?
Cóż, jeśli nawet głośno się rozpłacze? —
Ani usłyszę, ani nie zobaczę. —
Co w chwili zgonu po tych myślach wreszcie? —
Więc póki żyję, dogodzić mi spieszcie!

28.

Nie myślałem, że tak będzie,
Że tak tęsknić mam za tobą,
Żeś najdroższą mi osobą —
Dzisiaj widzę, żem był w błędzie,

Oszukawszy ciebie nieraz,
Doczekałem się wet za wet,
Że ty nie przypuszczasz nawet,
Ile ja przecierpię teraz.

29.

Widziałaś kiedy, jak ptaka na niebie
Dosięga strzał? —
Jeszcze się chwilę w powietrzu kolebie,
Leciećby chciał —

Słyszałaś może, jaki wtedy ranny
Wydaje krzyk?
Potem opada, gdzie strzelec zachłanny
Chwyci go w mig...

Tak miłość naszą wysoko ciągnącą
Poraził los,
Więc za nim skrzydła jej o ziemię trącą
Skarży się w głos...

30.

Miła moja, skąd ta żałość
Bez powodu?
Czyż nie wierzysz w moją stałość?
Chcesz dowodu?

Mówią ludzie o miłości,
Że przemija.
Zawsze mię to kłamstwo złości:
Jak tam czyja!

Bo ja dotąd kocham wszystkie
Raz kochane
I uważać ich za bliskie
Nie przestanę.

Nie przestanę, Bóg mi świadkiem,
Póki żyję.
Gdy spotykam je przypadkiem
Puls mi bije,

Nogi drżą mi, gdy pozdrawiam,
I z tęsknoty
Omal na głos nie wymawiam
Słów pieszczoty.

Miła moja, skąd ta żałość?
Nic z dowodu?
Wątpisz jeszcze w moją stałość
Bez powodu?

31.

Gdy idę nie patrząc
Gdzie mię krok zaniesie,
Zawsze pod twem dawnem
Oknem obudzę się.

I tak pod niem stojąc
Marzę pół przytomnie,
Że za chwilę z okna
Uśmiechniesz się do mnie.

Lecz inna w niem staje
Inna się uśmiecha,
Gdy na pięcie skręcam
I biegnę do lichą.

32.

Lubię wsiąść na pociąg
Tak bez żadnej racyi
I przejechać się nim
Bodaj kilka stacyi.

Pociąg już za miastem,
Ja w oknie się kładę
I sam sobie kłamię,
Że do ciebie jadę.

33.

Gną się kłosy, wieją włosy,
Najsłodsze twe wargi,
Łan się kładzie, ty się kładziesz,
Miła, porzuć targi.

34.

Tęsknisz do gwiazd? tak trzeba,
Chory z tęsknoty druhu,
Choć sobie mówisz w duchu:
Nie zejdą do mnie z nieba!

Rozstawszy się z nadzieją,
Otom znów dziś przy zdrowiu:
Na mojem się wezgłowiu
Jej oczy do mnie śmieją.

35.

Bardzo byłoby tragiczne,
Gdyby moje piosnki śliczne,
Nad któremi tak się trudzę,
Gdyby one były cudze.

Ale cóżby było, jeśli
Ręka skrupulatna skreśli
Te co jeszcze nie pisane?
Więc skrupuły mieć przestanę.

36.

Wiesz, jak teraz piosnki tworzę?
Oto tak:

Co raz nową wciąż zaczynam,
Aż mi która aż do końca
Nie wysnuje się z niechcąca —
Nieskończonych zapominam.
Wiesz, jak teraz piosnki tworzę?
Oto tak,
Jako ptak,
Kiedy sobie gwiżdże w borze.

37.

Niema piosnki dla mnie słodszej,
Jak miłosnych słów trzy po trzy.
Jakże mógłbym się nie gniewać,
Że mi jej nie wolno śpiewać?

38.

Przeszła ta przeklęta zima,
Która we mnie myśl zabija,
Lato, lato już nadchodzi,
Lato, co mi zawsze sprzyja.

Latem nic mi nie zaszkodzi
I każda przygoda słodka.
Ale cóż! gdy ciebie niema,
Nic dobrege mnie nie spotka.

39.

W sercu jad,
W sercu mojem jad i srom,
Z piersibym je wydarł rad
Cisnął psom.

40.

Złotą nić twe rączki przędą,
Mego szczęścia nić,
I dopóty pragnę żyć,
Póki rączki twe prząść będą
Złotą nić.

Słodkich nut dobierasz przytem,
Mego szczęścia nut,
I umierać nie chcę wprzód,
Nim napoisz mię zachwytem
Słodkich nut.

Czarny kłam na rzęsach drży ci,
Mego szczęścia kłam,
A więc teraz porwę sam
Słodkie nuty, złote nici,
Jeden kłam.

41.

Każda łza twoja niegdyś
Z przyczyny mej wylana:
To dzisiaj jedna więcej
W mej chorej piersi rana.

Za każde niegdyś w gniewie
Dane ci przykre słowo,
Serce mi w piersi staje
I niechce bić na nowo.

Lecz zato, żem raz zimno,
Zimno i najniedbalej
Odepchnął twą pieszczotę:
Za to żyć muszę dalej.

42.

Po dniu deszczu, dniu wylewu,
Kiedy woda drzewo brała,
Kiedy w polach ze zasiewu
Ani trawka nie została:
Poraz pierwszy aż do rana
Byłem z tobą, ukochana.

43.

Nie układam moich piosnek,
Każda sobie hasa
I tak rosną nieporządnie,
Jak kwiecie u lasa.

Nazbierawszy do spódniczki
Lubi Maryś czasem
Składać z kwiatów bukiet potem,
Usiadłszy pod lasem.

I przymierzać i odkładać
I marszczyć brwi przy tem —
Taki los dla moich piosnek
Byłby szczęścia szczytem.

44.

. . . Moglibyśmy siedzieć sami
Godzinami,
Miesiącami
I latami
. . . Siedzieć ramię do ramienia
Tak bez drgnienia,
Bez westchnienia,
I pragnienia.

45.

Gdybym wiedział, że twe serce
Bierze przykład z ptaszka
Toć zatrzymać je przy sobie
Była dla mnie fraszka.

Zamknąłbym je w złotej klatce
Karmił ziarnem złotem
Odmieniałbym codzień wodę
Z niewielkim kłopotem.

Najwdzięczniejszą ze swych piosnek
Czy zima czy lato
Ptaszek syty i wesoły
Śpiewał by mi za to.

Gdybym wiedział, że twe serce
Z ptaszka przykład bierze
Nie wyszedłbym na straszydło
Co pustych pól strzeże.

46.

Chodzę po mieście
Trzy dni już chodzę —
Może pod koła
Wpadnę nareszcie...

47.

Chorych zbierać niema komu,
Kto wystąpi ze szeregu,
To zostanie sam na śniegu,
Nie zobaczy więcej domu.

Już nie czuję nóg ni krzyża,
Tchu mi brak — a idę dalej...
Bośmy przecie się kochali
„Jak stąd do Paryża."

48.

Pokochałem złą dziewczynę
Za moje grzechy
I myślałem już że zginę
Z łez i uciechy.

Pokochała mię dziewczyna
Dobra jak jagnię,
Żadnych ze mną zwad nie wszczyna,
Szczęście dać pragnie.

Pokochała mię niewinna
Za moje grzechy
I nie dała mi ta inna
Łez ni uciechy.

49.

Ej koledzy, ej koledzy!
Choć znów żonę, dziecko pieszczę,
Choć na swojej stoję miedzy,
Myślą z wami bywam jeszcze.

Ej koledzy! Czy to czary?
Chociaż żona na mnie płacze,
Nieznanymi znów obszary,
Ciągniem razem, my tułacze.

50.

Twarzy słonecznej
Różanomlecznej
Skąd naraz smagłość?

W żyłkach błękitnych
Myślałbyś: zbytnich
Skąd ta krwi nagłość?

W członkach toczonych
W rączkach spieszczonych
Skąd tyle mocy?

Ah! w życiu całem
Jeszcze nie miałem
Ah! takiej nocy!

NASZ WIECZÓR

Tam na dworze zawierucha
A tu płoną drwa w piecyku,
Narzucałaś ich bez liku,
Aż się matka twoja gniewa,
Że marnujesz tyle drzewa —
Tam na polu wicher dmucha
Więc do ognia się zbliżymy
I herbatę nastawimy.
Matka nam przyniosła ciastek
A ja nic... oprócz powiastek.
Słuchaj — matka też posłucha:

POWIASTKA O ZBÓJU I O UFAJĄCEM SERCU.

O tym zbóju powiem wam,
Co jak wyrósł, chodził sam,
Ojcu, matce własnej kat,
Żeby im pieniądze skradł,
Gdy mu raz niedano jeść,
Zabił w chacie dzieci sześć,
Każdy się go bardzo bał
A on Madej na imię miał —
I o dziewce z innej wsi
O sierocie Marysi.

Przyjął ją na służbę żyd,
Ganiał robić skoro świt
Za garść słomy, lichy wikt;
Nie ujął się za nią nikt.
Nawet dziecko, nawet pies,
Każdy jej przysparzał łez,
Do wieczora od rana
Zawsze była zestrachana.
Były w karczmie tańce raz,
Piszczą skrzypce, huczy bas
I śmieje się kobzy bek
Za okienkiem wali śnieg.
Żyd przy szklankach zwija się,
Maryś na bosaka mknie
Nanieść z pola nowych drew,
Ogień płonie, idzie śpiew.
Wtem z komina prysły skry,
Czarne się otwarły drzwi,
Chłop ogromny nimi wszedł,
Naginając wielki grzbiet —
Cicho się zrobiło wnet.
Kożuch mu ubielił szron,
Wichrem, borem śmierdział on.
Przy kominie sobie siadł.
„Co pan będzie pił i jadł?“
Łasi się do niego żyd:

„Wódka, mięso, wino, git?“
Madej mu nie odrzekł nic,
Jeno jął oczyma strzydz
A na kogo padł ten wzrok
Ten odwracał głowę w bok.
Żyda aż złamało w pół,
Kiedy dlań zastawiał stół.
Lecz nad kim się znęca świat,
Temu wszystkich wróg jest brat,
Gdy we wszystkich postrach budzi,
To obroni od złych ludzi.
Więc gdy Madej spojrzał w kąt,
Maryś patrzy się nań stamtąd.
Zdumiał Madej, co to znaczy,
Że dziewczyna w niego patrzy,
Patrzy, patrzy się bez trwogi,
Miast jak wszyscy popod nogi.
Ale wnet zmiarkował: „cóż,
Dziewka głupia jest i już.“
A więc pojadł a więc wypił,
Poszedł sobie, gdy się skrzepił.
W karczmie jeszcze się go boją
A on idzie drogą swoją
Pośród pustych, głuchych pól.
Właśnie wracał z łowów król.
Konik pod nim rączo bieży

A za nim orszak rycerzy,
Służba, sanie, sfory psów —
Jakto jeździ król na łów.
Stanął Madej. „Chamie hej,
Nuże czapkę z głowy zdejm,
Kiedy króla masz przed sobą!“
I trącił go w piersi nogą.
Madej mu nie odrzekł nic,
Jeno jął oczyma strzydz
A króla zdjął dziwny lęk,
W gardle uwiązł klątwy dźwięk,
Czuł że zginął bez pohyby,
Szepnął tylko: „bierz go w dyby!“
„Nawet król się boi mnie,
Tamta dziewka wcale nie“
Myśli Madej, króla w łeb
A rycerze pierzchli w step.
Jak mój Madej odtąd szalał,
Ile krwi niewinnej przelał,
Jak rozsrożył się bez miary,
To jest całkiem nie do wiary.
Przeszła zima, przyszedł jar,
Wszczął się wód i ptaszków gwar
Madej grzał się, grzał na słońcu,
Nową rzecz wymyślił w końcu.
I gdy zgasło na zachodzie,

Prosto na plebanię idzie.
Ksiądz wieczerzał starowinka
I pociągał sobie winka.
Potem wesół brewiarz mruczy.
Madej odeń żąda kluczy
Do kościoła. „A to poco
Chodzić do kościoła nocą?
Lepiej zjadłbyś, wypił ze mną,
Przespał u mnie póki ciemno.“
Madej mu nie odrzekł nic,
Jeno jął oczyma strzydz.
Dobry ksiądz tak się zestrachał,
Że się mało nie rozpłakał.
Madej z rąk mu klucze bierze,
Do kościoła otwarł dźwierze.
Dyabeł za nim szedł krok w krok.
I przy drzwiach się schował w mrok.
Zaś zbój Madej stąpa dalej.
Gdzie się mała lampka pali,
Gdzie ze srebra i ze złota
Błyszczą niezliczone wota
A Pan Jezus na świat zniża
Umęczoną głowę z krzyża.
Wziął się Madej do rabunku,
Znikąd nie było ratunku,
Wtem Pan Jezus cały drgnął,

Z trudem rękę z gwoździa zdjął
I na zbója podniósł ją,
Aż go opryskała krwią.
Nie powiedział Madej nic,
Jeno jął oczyma strzydz,
Aż Pan widząc tyle złości
Pomdlał z lęku i żałości.
Wraca Madej a u drzwi
Czekał nań już dyabeł, lecz
Kiedy Pańskiej zapach krwi
Zwietrzył, zaraz uciekł precz.
„Bóg się, dyabeł boją mnie,
Tamta dziewka wcale nie.“
Myśli Madej, szuka wody
Dla obmycia i ochłody.
Wnet w sadzawce znalazł ją.
Gwiazdy tam odbite drżą
I twarz jego też tam drży.
Patrzy Madej, raz, dwa, trzy:
Dziwy dzieją się z tą twarzą,
Oczy na wierzch z niej wyłażą.
Gęba strasznie się otwarła,
Wezbrały żyły u gardła.
Groźnie patrzy Madej — „ach!
Jakiż twarz mą skrzywił strach!
Snać sam siebie boję się

A tamta dziewczyna nie?
Zaraz się przekonać muszę!“
I do karczmy w drogę rusza.
Znalazł ją ze złotym świtem,
Zastał Maryś nad korytem
Zmywającą wodą oczy.
Gdy Madeja niemi zoczy
Zawołała: „Boże wielki“
Ze rzęs spadły jej kropelki,
Przycisnęła ręce dłonią,
Policzki jej się zapłonią
I nie spuszcza ócz z Madeja.
Nie strach był w nich lecz nadzieja.
„Słuchaj dziewko! Madej rzekł,
Chyba nie wiesz, com za człek,
Jakie wyrządziłem szkody
I że z każdym szukam zwady.
Mnie się boją matki, chłopy,
Rycerze, króle i popy.
Strwożyłem czarta i Zbawcę
I swe odbicie w sadzawce.“
Nato Maryś rzecze mu:
„Czekałam, że przyjdziesz tu
Od złych ludzi zabrać mnie.
Czekałam na przyjście twe.“
„Kiedy tak, to dobrze wiedzieć,

Nie będziemy tutaj siedzieć,
Idziem zaraz do kościoła,
Niechaj nas połączy stuła."
W polach jedzono śniadanie,
Kiedy przyśli na plebanię.
Ksiądz się gniewał starowinka:
„Za dużoś mi dała winka"
Na grubą kucharkę mruczy,
„Zapomniałem kędyś kluczy —
A to tyś wziął — oddaj zaraz
Przez ciebie taki ambaras."
„Masz żelazne, złote kup,
Bo Madeja będzie ślub
Z tą dziewczyną, co tu stoi
I wcale się go nie boi."
„A czy umiecie pacierze,
Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę?"
Poszli razem do kościoła
A tu Męka Pańska goła,
Ołtarz z wotów zrabowany
Pan Jezus twarzą do ściany.
„Nie bój się już! Madej rzecze,
Żadna krew tu nie pociecze.
Anim przyszedł zabrać ci co.
Niech tylko świece zaświecą,
Bo ślub biorę z tą, co stoi,

Dlatego, że się nie boi.
Ja tam o złoto nie stoję,
Masz tu wszystkie wota swoje
A tu jeszcze drugie tyle.“
Więc Pan Jezus go wysłuchał
I znów z krzyża patrzy mile.
Ksiądz się także udobruchał.
Ślub się odbył bardzo cudnie,
Zeszli się ludzie w południe,
Śpiewały dzieci ze szkoły,
Pomagały im anioły
I usłyszano te słowa:
„Bądźże nam Marysiu zdrowa.
Gdy nadejdzie taka pora,
To największego potwora
I okrutnego mordercę
Przed którym każdy ucieka,
Jedno ufające serce
Przemienia znowu w człowieka.“
Tak też Madej się odmienił,
Gdy z Marysią się ożenił,
Nikt spokojny się go nie bał,
Chyba karczmarz albo dyabeł.

— Teraz przerwa będzie mała,
Bom herbaty wam nalała,

Mówi matka a ty na to:
— Mama także z tą herbatą,
Teraz pić ją to zadługo,
Ja chcę słuchać bajkę drugą.

POWIASTKA
O CHMURKACH I CIENIACH.

Chmurki po niebie płyną
I płyną po trawie cienie
Chmurki i cienie giną.
Ale urasta cierpienie.
Jaś z Kasią u skraju łąki
Zbierali sobie poziomki.
— To rzuć, to wilcza jagoda!
— A byłaby ci mnie szkoda?
Jaś ramionami wzrusza,
Lecz Kasia go przymusza:
— No powiedz, czybyś żałował?
Jaś Kasię pocałował
Lecz Kasia się uparła:
— No powiedz, gdybym umarła?
— A, to są głupie pytania!
Jaś odpowiedzieć się wzbrania.
Lecz Kasia się zacięła:
— Gdybym tak teraz połknęła?

A łykaj! Jaś się zapłoni
I wydrze owoc jej z dłoni,
Aż mocno pociągniona
Padła mu Kasia w ramiona.
Wargą jej wargi podważa
I „łykaj! łykaj!“ powtarza
Gdy przyszli do oddechu,
Zanoszą się od śmiechu.

Płyną chmurki po niebie
I cienie płyną po trawie,
Uśmiechniona do siebie,
Sen słodki śniąc na jawie,
Bo ani czując gorąca,
Ani kochanków widząca,
W szarej i długiej sukience
I z kwiatkiem polnym w ręce,
Jakby ją powiew niósł świeży
Zieloną łąką bieży
Pani kras niepowszednich
I tak nadeszła tuż przed nich.
Postrzegli piękną panią
I Jaś zapatrzył się na nią.
— Cóż tak wytrzeszczasz oczy?
Kasia na niego się boczy.
— Ah, Kasiu zostawże mię!

— Ty patrzysz, ona drzemie!
— Dlaczego jej tak przyjemnie?
— I cóż, piękniejsza odemnie?
— Cicho bądź Kasiu nareszcie!
— Oboje podli jesteście!
— Na trawie sobie przyklękła.
— Chce zostać! Kasia się zlękła.
— Tuli się w cieniu swym własnym
— Bo wstyd jej przed dniem jasnym
— Wodzi paluszka końcem...
— Bawi się głupia ze słońcem!
— Na nas nie patrzy, nie słucha...
— Ja jej coś powiem do ucha!
— Ani się nawet nie waż.
— O cóż ty na mnie się gniewasz?
Chcę, żebyś mnie pocałował...
Ty: słuchaj, będziesz żałował!...
I pośród takiej kłótni
Oboje stoją smutni.

Płyną chmurki po niebie
I cienie płyną po trawie.
Uśmiechniona do siebie,
Sen słodki śniąc na jawie,
Bo ani czując gorąca,
Ani kochanków widząca,

W szarej i długiej sukience
I z kwiatkiem polnym w ręce,
Jakby ją powiew niósł świeży,
Tamta powstaje i bieży.
— Patrzcie! on chce iść za nią!
Tanio mię cenisz, tanio!
Wtem Jaś oprzytomnieje:
— Co się to ze mną dzieje?
— To żeście ze sobą w zmowie!
— Daj niech się zastanowię.
— Więc Jasiu z nami już zgoda?
— A szkoda, pewnie, że szkoda,
Od siebie ją odtrąci.
— Tobie się rozum mąci!
Wciąż za nią lata oczyma!
A lećże, nikt cię nie trzyma.
Widzisz, znów w trawie siedzi
I za swym cieniem śledzi
I palcem się z nim bawi.
Gdy ci to radość sprawi,
Idź patrzeć, ona czeka,
Idź, droga niedaleka!
Nie stójże nadaremno,
Idź a nie żegnaj się ze mną!
Jaś naprzód się zawahał
A potem ręką zamachał.

Lecz zanim dwa kroki zrobił,
Jęk mu o uszy się obił.
Obił się niepoznany —
Wtem zimnym potem zlany
Jaś w miejscu się obrócił,
Do swej się Kasi rzucił.
— Kasiu, Kasiu jedyna!
Jaka ty sztywna, sina!
Powiedz choć słowo! — milczy...
To skutek jagody wilczej.
O Kasiu, Kasiu miła
Cóżeś ty uczyniła?
Od płaczu się zanosi
I o śmierć Boga prosi.

Płyną chmurki po niebie
I płyną cienie po trawie
Uśmiechniona do siebie,
Sen słodki śniąc na jawie,
Bo ani czując gorąca
Ani kochanków widząca,
W szarej i długiej sukience
I z kwiatkiem polnym w ręce,
Jakby ją powiew niósł świeży
Tamta powstaje i bieży
I bieży polną drożyną —
Chmurki i cienie giną.

— Dość już bajek? — Nie, nie dosyć.
— Niemam więcej nic w zapasie
— Brzydki, kto się daje prosić.
— Będą znów w najbliższym czasie.
— Ja chcę zaraz, albo wcale!
— Bóg wie co, tak się napierać!
Pijcie, radzę. — Mamo nie radź —
Na złość tak, wiem doskonale.
— Może piersi ma zmęczone?
Matka bierze moją stronę.
— Fe, tak trząść się nad swem zdrowiem!
— Lecz naprawdę już nie mogę.
— Więc ja córce mej opowiem
Jeszcze jedną na przestrogę,
Jak to bywa takiej pannie,
Co chce czegoś nieustannie:

POWIASTKA MATKI.

(Urywek)*

Kiedy Zosia była mała,
To w łóżeczku swym z wieczora,
Najokropniej się lękała
Kominiarza Teodora.

---

*) Pomysł tej powiastki zawdzięczam »Pisklętom« p. Rogoszówny

„Nianiu, nianiu, zostań ze mną,
Nianiu, Zosia tak się boi,
Nianiu, nianiu tam gdzie ciemno,
Nianiu, tam... Teodor stoi!“

Ani gniewem ni dobrocią
Uspokoić się nie daje,
Mama się naradza z ciocią,
Jak odmienić te zwyczaje.

I gdy wieczór znów zapada,
Kupionego wprzód pajaca
Ciocia niesie i powiada:
Zosiu patrz, Teodor caca.

Zosia w płacz i krzyk z początku,
Bo miał czarny strój i skórę,
Lecz ciekawość wnet w dziewczątku
Nad obawą wzięła górę.

Nie mogąc się oprzeć chęci,
Pomaleńku go pomaca:
Ach, jak ślicznie głową kręci
I oczami jak przewraca!

Jak rękami wymachuje,
A gdy mu się brzuszek maca,
Cały język pokazuje.
Niema co! Teodor caca.

I jak się go bała pierwej
Tak znów teraz bez pamięci,
Bez spoczynku i bez przerwy
Na wszystkie nim strony kręci.

Na noc pod poduszkę wkłada,
By się odeń nie odrywać,
Do obiadu z nim zasiada
Każe język pokazywać.

Zosiu, Zosiu, mama radzi,
Widząc tyle w niej przesady,
Przyciskaj go trochę rzadziej.
Lecz Zosia nie słucha rady.

Ręce już mu odleciały,
Już przez taką nieostrożność
Ochwiał się Teodor cały:
Wreszcie stracił ruchu możność.

Próżno Zosia w to nie wierzy,
Próżno głaszcze, mówi: „caca".
Już Teodor martwy leży,
Już oczami nie przewraca.

Płacze Zosia najgoręcej,
Pocieszyć się nie jest w stanie,
Mama mówi jej że więcej
Teodora nie dostanie...

Matka coś mówiła dalej,
Ale myśmy nie słuchali,
Bowiem właśnie popod stołem
Nogą nóżki twej dotknąłem.
Już cię one nie rozstały —
I tak wieczór zeszedł cały.

DODATEK DO POPRZEDNICH

SPIS

DODATKU
DO FRASZEK MIŁOSNYCH I POWIASTFK

1.

Czemuż to kryjesz się w tłumie przedemną?
Przecież rozstalim się zgodnie.
Na to spotkanie wiedz, żem nadaremno
Czekał tygodnie.

Czemuż mój widok pomięszał cię tyle?
Jam cię nie szukał, Bóg świadkiem,
Jeśli cię chciałem zobaczyć na chwilę,
To tak: przypadkiem.

Ujrzeć, żeś zdrowa i piękna jak dawniej,
Zresztą na spokój się zdobyć,
Wszakże jesteśmy na tyle wytrawni,
By módz tak zrobić.

Jak po skończonej robi się szermierce:
U kresu naszej swywoli
Dwornie dłoń podać, choć ściska się serce:
Twój lęk mię boli.

Dziś nie czekają nas żadne zapasy,
Opanuj zatem swą trwogę.
Nie wrócą tamte, prawda? dobre czasy?
Trzeba nam w drogę.

2.

Gniewałaś się, że biję psy —
I to bez żadnej winy.
Spytajże teraz, proszę cię,
Czy biłem bez przyczyny.

O milę za mną przybiegł tu
I popod domem skuczy
I cały dom obudzi wnet —
Niechaj cię to pouczy.

I gdy dokuczać będę ci,
Nie tłumacz, żeś niewinna,
I nie śledź nocę kroków mych,
Kiedy mię pieści inna.

3.

Tak długom ciebie uwielbiać nie przestał,
Takem się modlił do ciebie wytrwale,
Ażem cię zmusił wspiąć się na piedestał,
Białym posągiem stać na piedestale.

Teraz odszedłem: nie słyszysz przezemnie
Co dnia do ciebie mówionej koronki;
Wierzę, że bardzo ci będzie przyjemnie
Ziewnąć, przeciągnąć zesztywniałe członki —

Lecz z drugiej strony, posągowej roli
Niechać: to także, oh, troszeczkę boli.

4.

Pytasz: jak kocham? więc wysłuchać chciej,
Choć lepiej kochać, niźli mówić umiem,
Jak nie jest w stanie nic miłości mej
Odmienić i jak ja stałość rozumiem.

Okoliczności jakichkolwiek zbieg
Miłości mojej nigdy nie osłabi,
Czy to choroba będzie czy to wiek —
Ani mnie inna kobieta nie zwabi.

Kochać cię będę zawsze tak jak dziś,
Ty najkształtniejsza i ty cudnobiała,
Choćbyś straciła wdzięki, chociażbyś
Zmarszczkami naraz pokryła się cała.

Kochać cię będę nadal, chociaż wiem,
Żebyś natychmiast, bez chwili wahania,
Z trwogi przed jedną zmarszczką, jednym tchem
Wyrzekła się mnie i mego kochania.

5.

Mówiłaś: całuj! a ja, patrząc na cię
Wątłą, łamliwą, jak kwiatu łodyga,
Na szyjkę, jak się męczy tem, że dźwiga
Złoto twych włosów, na liczko w szkarłacie
Jam ciebie wtedy żałował.

Mówiłaś: całuj! i podciąwszy winem
Biedne swe członki, nagle przemieniona
Z dziecka w bachantkę brałaś mię w ramiona —
Na powiek czarność ponad ust karminem
Patrząc, jam tylko żałował.

Lecz gdy zamilkłaś, smutna i bez skargi,
Choroba względu nie miała nad dzieckiem
I dosięgnęła cię tchnieniem zdradzieckiem.
I teraz patrząc na twe białe wargi,
Żałuję, żem nie całował.

6.

Gdym otworzył mą walizkę
W obcem mieście tem,
Kiść rezedy w niej znalazłem
A skąd także wiem.

Twoje rączki to pachnące
Włożyły ją tam,
Bym przypadkiem nie zapomniał,
Że cię kochać mam.

7.

Kaprys: rzecz piękna! ale w twojej dłoni
Najczystszej wody staje się brylantem,
Co barw przepychy bez rachunku trwoni
I umie ranić szkło iskrzącym kantem.

Kaprys: rzecz piękna! ja sam dla kaprysu
Na wszystkom gotów: kochanki zaniechać
I dać się wyśmiać i dziś do Tunisu,
Jutro na tamten może świat pojechać.

Lecz jeśli uznasz, żeś kiedy nad miarę
Nawydziwiała nademną poczciwcem
I przymrużywszy swoje oczy szare
Mnie niewinnego piekłaś niemi żywcem.

To się tem nie martw zbyt: bo służby moje
Przy tobie, czucia gardzące opisem
Uległość pazia, snów czystych powoje:
To wszystko znowu było mym kaprysem.

8.

Choć mi jest z Tobą najlepiej, najjaśniej,
Choć pragnę siebie w Twoje myśli wpleść,
Stać się dla Ciebie jako rycerz z baśni,
Byś mieć musiała dla mnie sny i cześć:
Jeśli mię zechcesz minąć obojętnie,
Wpoprzek Twej drogi nie stanę natrętnie —
Ale Ty skiń! —

Choć wypędziłaś z mojej głowy wszystko,
Co nie jest Tobą — choć w nocy czy w dzień,
Wciąż jesteś dla mnie bez różnicy blisko,
Bo w trop Twój idzie pamięć ma jak cień
Jeśli uniknąć chcesz mego widoku,
Ja naprzeciwko nie zrobię i kroku —
Ale Ty skiń! —

Choć jeno w Ciebie i za Tobą patrzę,
Chociaż nad Ciebie nie mam dzisiaj nic,
Chociaż bez Ciebie w życiowym teatrze
Wiem, że nie będę ni aktor ni widz
Jeśli mię nie chcesz wstrzymać choć oczyma,
To ja odejdę i nic mię nie wstrzyma —
Ale Ty skiń! —

9.

Wichura warczy i dudni i wyje
A nieprzytomne drzewa gną się w pas
Ptak oszalały mokrem skrzydłem bije
Aż przemożony spada w dół jak głaz.

W dżdżu głosy gonią niewiadomo czyje,
Świszczący dyszkant i huczący bas —
Z pewnością włoży dziś ktoś w stryczek szyję,
Bo cóż innego zrobić w taki czas?

10.

A więc mi mówisz, że się nienawidzisz
...Ale w Twem oku błysk wesoły igra.
Wiem, że w mej twarzy co innego widzisz.
Rzucasz wyzwanie — obaczym kto wygra?

Tak jest, masz słuszność: jać nie nienawidzę,
Owszem przeciwnie... wyznaję otwarcie.
A teraz powiem coś, czem Cię zawstydzę:
Chciałbym, by było prawdy coś w Twym żarcie.

BALLADA O SZCZERYCH KOCHANKACH.

— Skąd ta zaduma, smutek w oku
U twej Inezy wiernej boku?

Czyli ci sokół się zagubił?
Czyliś Inezę twą znielubił?
A don Rodrygo na to: zgoła
Nie utraciłem ja sokoła
A mą Inezę tak jak pierwej
Kocham gorąco i bez przerwy.
— Więc konik miły ci okulał
Alboś dukaty w grze przehulał?
— Dukaty dzwonią tutaj w kiesie,
Koń mój mię rączo do cię niesie.
— Więc to rzecz jakaś nadzwyczajna:
Choroba cię nurtuje tajna?
— Żadna choroba mię nie nęka,
Lecz skryta wina, ta tu ręka
(Na wieść tą miłość cię odbieży)
Zabiła brata dla grabieży.
— Oj, to niedobrze – był zuchwały?
— Sieroty łupu część dostały.
— Więc tak mi powiedz, o najlepszy
Z wszystkich rycerzy i najkrzepszy.
— Lecz siedzisz taka zasępiona,
Już mnie nie tulą twe ramiona.
Droga Inezo, wyznaj proszę,
To do mnie zraża cię potroszę?
— O nie, ja kocham cię jak pierwej,
Równie gorąco i bez przerwy.

Inna zgryzoty mej przyczyna:
Przed tobą ukrywana wina.
Wyznać ci muszę: w te ramiona
Innego brałam... — Przymuszona?
Więc tak mi powiedz a nędznika
Już naprzód miej za nieboszczyka.
Szpadą go zgładzę lub otruję
A ciebie kocham wciąż... — Dziękuję.
Lecz... — Niema lecz! — Lecz to mnie boli,
Że mu się dałam z dobrej woli
A co! kochanek mój się wzdryga,
Straciłam miłość don Rodryga?
— Nie, gdyś wyznała, nic nie szkodzi,
Ten dreszcz skądinąd zaś pochodzi:
Chociaż z trudnością, wyznam szczerze,
Że na myśl pomsty strach mię bierze.
Milczysz Inezo, usta krzywisz,
Dla tchórza wzgardę pewnie żywisz?
— Nie, ja cię kocham tak jak pierwej
Równie gorąco i bez przerwy.
Ale goryczą mię napawa,
Że to z pachołkiem twoim sprawa.
Aha! Wstręt do mnie cię porywa
I cóż ja pocznę nieszczęśliwa!
— O nie, ja kocham cię jak pierwej
Równie gorąco i bez przerwy.

Lecz się ze wstydu chyba urwę,
Że mogę kochać taką... furyę.
Inezo, patrzysz nieprzytomnie:
To miłość twą zabija do mnie?
— O nie, ja kocham cię jak pierwej
Równie gorąco i bez przerwy.
Lecz to na siebie mnie oburza,
Żem bratobójcy, łotra, tchórza.
Jak się twarz twoja teraz zmienia:
Nabrałeś do mnie obrzydzenia?
Rycerz zaprzeczył — i tak dalej
I aż do śmierci się kochali.

NIEUKOJONE SERCE.

Dumał w zamkowym krużganku rycerski duk,
Dłonie utopił w czuprynie czarnej jak kruk.

Słońce mroczyło się w dali i milczał gród,
Morze sczerniało i ziębło, zawiewał chłód.

Pan brew namarszczył ponurą, wytężył wzrok,
Ale go wsiąknął i stępił zamglony mrok.

Nie dość mię wino upaja i biesiad wrzask,
Zamało umysł mi mąci pochodni blask!

I cóż, że skinę a wznoszę w mych salach szum.
Nie dość, że nogi kopnięciem rozpędzam tłum!

Nie dosyć koi mię Julia podaniem warg,
Za mało gibki w objęciu biały jej kark!

Zbyt słabo mi przy jej łożu huczy krwią skroń,
Zbyt słabo drży przy dotknięciu jej ciała dłoń!—

I rycerz szarpnął za kratę, zgięła się w łuk.
Podłe, zbyt miękkie żelazo! rzekł mężny duk.

I wnet zatrąbił potężnie w złocisty róg;
Do już ciemnego krużganku wraz wbiegł rój sług.

Zgotowić wiosła i żagle i spuścić łódź
Na falę! Chłopa dwadzieścia przy wiosłach skuć!

I nocą duk ruszył na dni ryczących burz.
Do Julii stęsknionej, bladej, nie wrócił już.

FRASZKI PATETYCZNE.

SPIS
FRASZEK PATETYCZNYCH.

EKSKUZA.

Gdybyś wiedziała, jakich ja cię scen
W mojej fantazyi robię bohaterką,
Pewniebyś zaraz wyjęła lusterko,
By sprawdzić, co on plecie waryat ten...

Czy rzeczywiście brak w twych oczach den
I można zostać z niemi milionerką,
Czy w ustach walkę z długą znać rosterką
I coś takiego, czy jest w nich sans gêne...

Czy mógłby twierdzić także ktoś bezstronny,
Że rys niejeden masz w sobie Madonny,
Julii, Imogen i Manon Lescaut
I że to jeszcze wcale nie jest wszystko!
Jakby nie było, mnie tłumaczy to,
Że nigdy w snach mych nie bywasz statystką.

POŻEGNANIE . . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

WRÓŻBA.

Już byliśmy w przyjaźni, już się dużo razy
W przypadkowym uścisku splotły nasze ręce;
Słodko się do mnie śmiały twe usta dziewczęce:
Jam wciąż nie rozpoczynał pocałunków fazy.

I gdy się wyczerpały rozmowy wyrazy,
Snać myśląc, że się z braku odwagi tak kręcę,
Przyglądałaś się z lekkim uśmiechem mej męce —
W końcu po twej twarzyczce przemknął cień urazy.

Wtedym wyznał przyczynę, zaciskając pięści:
Gdy mię poraz ostatni ma dawna objęła
Kochanka, w takich słowach usta me przeklęła:
Pierwszej, której tkną po mnie, przyniosą nie-
[szczęście.
Posmutniałaś na chwilę, wtem podniosłaś główkę:
„Więc niech wpierw pocałuję twoją pokojówkę“.

WŚCIEKŁY PIES.

Jeszcze czuł się wybornie w kuchennej kompanii,
Jeszcze z dziećmi przewracać mógł się po dywanie,
Jeszcze go zabawiało z panem polowanie:
Gdy zaczął stronić od swej uwielbianej pani.

Jeszcze żywo przybiegał na jej zawołanie,
Mógł czasem w oczy spojrzeć bez ściśnięcia krtani,
Jeszcze każdą krwi kroplę gotów przelać dla niej:
Dotknięcia małej rączki znieść już nie był w stanie.

Ta rączka go ścigała wszędzie pokryjomu
W pokojach, w polu, we śnie. Aż na nią zawarczał
I na zawsze przed małą rączką uciekł z domu.

A gdy we wsi dziesiątej upadł oszalały
I w męce pod razami chłopskich cepów charczał,
Miał kły pełne krwi swojej i tej rączki małej.

ZAPACHY.

. . . Byłaś wtedy w kapeluszu
Z różyczkami — —
A ja miałem wyżej uszu
Tej, której ty zazdrościłaś,
I gdybyśmy byli sami,
Rzekłbym, gdybym mógł: przemiłaś!
I tak było mi w to rano
Jak więźniowi na etapach
. . . Najwyraźniej czuję siano:
To wspomnienie ma swój zapach.

. . . Noc już była, tyś leżała
Na kanapie.
A mnie nagle chęć porwała
Tulić nogi twe do serca...
Tyś patrzyła po pułapie
I skubałaś sierść kobierca —
I czuliśmy w sobie burzę
O rozdętych ogniem chrapach — —
. . . Najwyraźniej czuję róże:
To wspomnienie ma swój zapach.

. . . Tyś płakała, ja się wiłem
Ze zazdrości...
Nie pamiętam, co mówiłem,

Byłem bowiem jak pijany,
Gorzej niż bez przytomności,
I wiem tylko, że ze ściany
Czarna suknia się zwieszała
Ze śladami po psich łapach...
... Czuję woń twojego ciała.
Bo wspomnienie ma swój zapach!

WIDZĘ oczami duszy, że wciąż o mnie
Myślisz i tęsknisz; pomimo brak wieści
Przez czas tak długi, mimo spryt niewieści
Twej dobrej matki, co pragnie ogromnie.

Byś wreszcie na świat spojrzała przytomnie,
I już mą pamięć ostrożnie bezcześci:
Tyś się zacięła w twej świętej boleści
I wierzysz we mnie i w powrót niezłomnie.

I oto teraz, gdy śnieg gęsty pruszy,
Zaplotłaś palce nad krasną robótką
I patrzysz w okno i płaczesz cichutko.

To wszystko widzę ja oczyma duszy,
Spoczywam bowiem z bożego wyroku
W chłodnej mogile przeszło od pół roku.

GDYM objął nad nią pierwszy raz kierunek,
Dzikie to było, że uwierzyć trudno,
I miałem pracę wielce, wielce żmudną,
Zanim przywykła pić miłosny trunek.

Również zapiszę to na swój rachunek —
Jakkolwiek płeć ma z urodzenią cudną —
Że w żadnem miejscu nie jest teraz brudną
I umie dobrze oddać pocałunek.

I że dziś z tego się elementarza
Sama uśmieje! – Dziś jej nie przeraża
Żaden z o wiele zawilszych wymogów.

Lecz cóż? W świat uszła moja wychowanka —
Snać los już taki wszystkich pedagogów —
I pewnie olśni nowego kochanka.

DZWONEK.

1.

Kiedym przyjechał do was w odwiedziny,
Twój mąż mię zawiódł do mego pokoju,
Mówiąc, że zechcę po podróżnym znoju
Odpocząć sobie jakie pół godziny.

I widać odgadł pytanie z mej miny,
Bo dodał: „Marya jeszcze w rannym stroju.
Proszę się przespać lub przebrać w spokoju.
Czy nie brak czego? Dzwonek u futryny“.

Wyszedł. Nie mogąc zaraz cię zobaczyć,
Zacząłem myśleć, jak sobie tłumaczyć,
Żeś na mój przyjazd nieubrana pierwej —

I jakoś mi się rozigrały nerwy,
Poczułem nagle w gardle jakby łkania,
I wziąłem się do rozpakowywania.

2.

Grzebiąc w walizie na różne sposoby,
Mój ręczny dzwonek z między tych wygrzebię
Rzeczy, co służąc codziennej potrzebie
Stanowią, jakby część naszej osoby.

Ten dzwonek, którym podczas mej choroby
Czteromiesięcznej dzwoniłem na ciebie,
Kiedy cię chciałem przywołać do siebie —
Wówczas nie miałaś w głowie garderoby.

Chętka mię wzięła dźwięk przypomnieć sobie
I, bez wielkiego namysłu, co robię,
Raz, drugi mocno dzwonię — z tą tęsknotą.

Jak kiedym wiedział, że cię przyjść zniewoli,
Wtem drzwi otwarły się — wpadł mąż twój: „co to?
Przepraszam pana, żonę głowa boli“.

MIAŁEM podobny sen do snu Jakuba,
Kiedy się walczyć z aniołem nie wzdragał.
Pomiędzy nami była ta sił próba,
Z tobą, najmilsza, jam się we śnie zmagał.

Zjawiłaś mi się jakoś przed północą,
Mówiąc, że przyszłaś po moje kochanie
I grożąc w razie oporu przemocą —
Jam się oburzył na takie żądanie.

I bój się zaczął. Ale twoje członki
Nie słabsze były, niż miała Dyana,
Walczyłaś ze mną z furyą amazonki:
W końcu musiałaś uznać we mnie pana.

I więcej podnieść się nie będąc w stanie
I widząc, że się nie powiodła grabież,
Rzekłaś mi z gniewem: „weź swoje kochanie
I oprócz tego, co chcesz, sobie zabierz,

Byleś mię puścił wolno!“ A ja na to:
„Twoje kochanie będzie tą opłatą“.

MAM ja twój portret — i zacnej roboty,
Choć to nie żadne płótno na świat słynne,
Ale stubarwny fantom mej tęsknoty,
Co na pamięci padł zwierciadło płynne.

Jak do nieziemskiej się przed nim istoty
Modlę i z ócz mi płyną łzy dziękczynne,
Że tyle w tobie jest wzniosłej prostoty
I miejsca niema na nic, co jest gminnne.

I marzę jakieś przeogromne dzieła,
By w służbie twojej moja krew płynęła,
Jak te łzy płyną, które teraz płaczę.

I dużo musisz mieć dla mnie dobroci,
Gdy cię w twej własnej osobie zobaczę,
Nim dawna śmiałość do ciebie mi wróci.

OKROPNĄ wojną. . . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

JEŚLI dwa lata. . . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

UPOR.

1.

Ona mi wszystko, wszystko wytłumaczy,
Jeżeli tylko zechcę słuchać dłużej:
Naparstek, kartkę i ten płatek róży.
Potem mi nawet zupełnie przebaczy —

Dokładniej mówiąc, przebaczyć mi raczy,
Ja zaś, że w szparę schować się za duży
Całować będę ślady jej odnóży —
Tak jest, tak stanie się i nie inaczej!

Lecz cóż, gdy zaszła maleńka pomyłka?
Gdym nie wytoczył wogóle procesu,
Widząc, że szansa moja nazbyt pyłka?

Jeślim wyjechał — nie dawszy adresu?
I z płatka róży będzie prochu garstka,
Zanim się dowiem o dziejach naparstka?

2.

Nikt o mnie nie wie z tutejszej Polonii,
Samotne życie w swych dwu norkach wiodę
I wpadłem całkiem jak kamień we wodę,
Bezpieczny chyba od wszelkiej pogoni?

Ciekawym, kto mię do powrotu skłoni?
Kto ruchów moich skrępuje swobodę?
Rodzina żony mej, bym dał swą zgodę
Na rozwód — albo też powrócił do niej?

Szukać mnie będą, wyznaczą nagrodę,
Ale nie znajdą! — Chybaby ten szkolny
Kolega... wszak mnie odprowadził wtedy,

Zapisał adres... dopytam się biedy!
I ja go poznać, iść z nim byłem zdolny —
Zmienię mieszkanie i zapuszczę brodę.

3.

Zmienić mieszkanie? tak, nic łatwiejszego!
Lecz swoją drogą mam coś na żołądku,
Coś więcej jeszcze jest tu w nieporządku,
Że się tak kryję przed dawnym kolegą.

A mianowicie, ja prawa żadnego —
O czasem pomyśleć nie chciałem z początku —
Nie mam tak mścić się na mem niewiniątku
Ona jest winna! no, ale cóż z tego?

Zamiast się pastwić, fakt poprostu nagi, —
Przecie nie czuję do niej nawet żalu —
Należy stwierdzić, że się już skończyło.

Zresztą złagodzić jaskrawość skandalu,
Napisać do niej — czyż brak mi odwagi?
Brak ale innej! Kręcę, że aż miło!

4.

Ona jest winna! — i nie w tem, że kocha
Kogo innego. Rzekłbym: trudna rada!
Miłość! za miłość nikt nie odpowiada —
I nie winiłbym zato ani trocha.

I nie w tem winna, jeżeli jest płocha,
Jeśli ją własna krew jej tak posiada,
Że w pierwsze lepsze ramiona upada
I da wywracać sobą jak pończocha.

Można ofiarą stać się zmysłów swoich
I równocześnie kląć ich bezeceństwo.
Choć podejrzane, niemniej to męczeństwo!

Ale w tem winna, że przedemną skrycie,
Przedemną, który byłbym dla niej życie —
A tybyś wolał, żeby w oczach twoich?

5.

Zdarzenie śmieszne, aż muszę spiec raczka.
Znowu chwilowa słabość charakteru!
Kiedym do domu wrócił ze spaceru
Powiada do mnie moja posługaczka:

Była do pana tu pańska rodaczka
Z dzieckiem na ręku, młoda... z jej słów szmeru
Nie zrozumiałam nic, prócz drzwi numeru
Prosta dziewczyna... może być żebraczka.

Lecz się starała pokazać na migi,
By pan napisał... Tu pokój kołysać
Jął się podemną i krzyknąłem gniewnie:

„To ona chciała coś dla mnie napisać!
To można było pojąć bez fatygi!“.
„Uspokój się pan, jutro przyjdzie pewnie“.

6.

Lecz nie czekałem do jutra, bo po co?
Służącą przysłał, kwestyi nie ulega,
Chcąc mnie zobaczyć, mój szkolny kolega.
Za przenikliwość niechaj mnie ozłocą!

Lecz trzeba trafić do niego przed nocą,
(Wyszła mi całkiem z głowy rola zbiega).
Dorożkę tedy wziąłem pierwszą z brzega
I w kwadrans mówię z całą wiary mocą:

„Przysłałeś po mnie, więc zjawiam się zaraz“.
„Cieszę się, odparł, skrywając ambaras,
Lecz tak zajęty jestem interesem...

Żem nawet zgubił kartkę z twym adresem“.
Mówił z kim o mnie? przerwę niecierpliwie.
„Nie, z nikim“ — spojrzał na mnie podejrzliwie.

7.

Że też na przyjście właśnie tej dziewczyny
Pan Bóg ukarać musiał mię przechadzką!
Tego dnia jeszcze wypytałem gracko
Mą posługaćzkę, nie dbając o miny.

Żem w kamienicy był Polak jedyny,
Tom dobrze zbadał jeszcze przed sprowadzką,
Licząc się z jakąś przypadku zasadzką,
Lecz przyjść nie mogła tamta bez przyczyny.

Kto tu przedemną mieszkał? — Nikt od lata.
A przedtem? — Jedna wdowa niebogata.
A Polak jaki mieszkał kiedy w domu?

Nie, chwała Bogu — Czy więcej nikomu
Nie wpadła w oko ta moja rodaczka?
Mąż mój ją widział, myślał, że to praczka.

8.

„Jutro" nie przyszła — i wciąż nie przychodzi,
A dni pietnaście odtąd już minęło.
Jednak zdarzenie to na mnie wpłynęło,
Chociaż niczego samo nie dowodzi.

Gdyby tak w każdem z podobnych powodzi
Widzieć się chciało sił tajemnych dzieło —
Wszakże się jeszcze przedtem to zaczęło,
Żem sobie mówił: napisać nie szkodzi.

Pomimo wszystko w sposób bardzo zręczny
Do mej się walki wtrąciło wewnętrznej —
I ustąpiłem wreszcie piędź za piędzią.

Winna — niewinna? któż mnie zrobił sędzią?!
Pisać — nie pisać? natychmiast powrócić!
Jak się tłumaczyć? do nóg jej się rzucić.

9.

Kto mi powiedział, że ona mnie czeka
Jak Penelopa po takiem pół roku?
Nikt – lecz ja nie chcę sam tego widoku.
Nie mogłaby go znieść moja powieka.

Gdy pokochała innego człowieka,
By ich miłości nie być solą w oku,
Ja sobie stanę cichutko na boku,
Ich szczęściem cieszyć się będę z daleka.

Lecz tak brutalnie jeśli odepchnięta,
Nawet nie lubiąc i z urazy raczej
Albo oddała się komuś z rozpaczy:

W im większe błoto zepchnąłem jej duszę,
Tem bardziej teraz okazać jej muszę,
Że dla mnie zawsze za czysta, za święta!

10.

Dwa dni jechałem — lecz gdy trzeci nastał
Do drzwi rodziców jej wreszciem zadzwonił.
Teść mi je otwarł — przystępu nie bronił,
Lecz na mój widok dziwnie się zaszastał.

Chciał mówić i znów głos mu w gardło wrastał
I na przemiany to bladł to się płonił,
Aż kilka słówek drgających uronił:
„Dobrze, że matki pan w domu nie zastał —

Pan nigdy więcej spokoju nie zazna“.
(Dotychczas zawsze miałem go za błazna,
Lecz wywarł na mnie tym razem wrażenie)

Żem jednak mocne miał postanowienie
Odbyć to wszystko z górki na pazurki,
Więc pytam, czemu? — „Spytaj naszej córki!“

11.

Właśnie ją tydzień temu pochowano,
Nieopłacona, niepowrotna strata!
Nie mogła dłużej znosić obelg świata!
Tak twierdził teść mój z miną przekonaną.

A przecież tutaj, tutaj ją kochano!
Cóż może miłość matki, ojca, brata?
Ale o listy od swojego... męża,
O listy do niej pytała co rano.

„Więc samobójstwo?“ — samobójstwo — jeśli
Nie z własnej ręki, to przynajmniej woli:
Bo sama jedna, wiedząc, jak jest chora,

Na żaden sposób nie chciała doktora.
A że wiedziała, wątpić nie pozwoli
Kartka jej, którą po śmierci znaleźli.

12.

Kartka? — Tak. Wciąż coś pisała i darła
A ta została: mój stan mię zatrważa,
Jeśli list przyjdzie, to wezwę lekarza.
Lecz co jej było? — W połogu umarła.

To była w ciąży? — Czyżby nie dotarła
Ta wieść do pana? spojrzał jak na łgarza.
„Przebieg normalny, niechaj nikt nie zważa!"
Tysiąc się razy przed matką zaparła.

Lekarze również mówią bez ogródki,
Że dwa dni wcześniej były jeszcze środki —
Więc tamta z dzieckiem ostrzegła mię w porę!

Zapóźnom tylko udał się w pokorę...
...I z płatka róży będzie prochu garstka
Zanim się dowiem o dziejach naparstka.

KOTKA.

Powiem ci coś, moja miła,
Co powiedziałbym sto razy,
Gdyby nie dziwaczna siła,
Wstrzymująca me wyrazy.

Gdym od ciebie o zaraniu
Wrócił pierwszy raz do domu,
To zastałem na posłaniu
Kotkę zbiegłą nie wiem komu.

I jak przyszła tak została
I jest całkiem jak u siebie,
Zwinna, cicha i zuchwała —
Przypomina czasem ciebie.

W zwykłą do kawiarni drogą
Nie puszczam się od tej pory
I gdy z tobą być nie mogę,
Z kotką spędzam me wieczory.

Chodzi ze mną po dywanach,
Stanę — staje, siądę — skoczy
I już u mnie na kolanach
I patrzymy sobie w oczy.

Większej nie znam też pieszczochy —
Lecz po mojej z tobą kłótni
Przez trzy dni stroiła fochy,
By mi było jeszcze smutniej.

A gdy łaskę twą z powrotem
Odzyskałem niespodzianie,
Jakby nigdy nic wnet potem
Wstała na me powitanie.

Kiedyindziej mokrzuteńka
Skądś powraca, dreszcz nią rzuca —
I nazajutrz ty maleńka
Zaniemogłaś mi na płuca.

Dziś znów z łóżka wprost jak z procy
Lecę tutaj, mrąc ze strachu,
Bo przez sen słyszałem w nocy
Coś jak gdyby miauk na dachu....

JAKŻE mi ciężko opuszczać te strony,
Gdzie przez pół roku pełno było nas,
Gdzie zamieniliśmy ostatni raz
Nasze spojrzenia i nasze ukłony.

Gdzie przystawałem później zamyślony
Pod dawnem oknem twem — a w ładny czas
Na górkę szedłem albo ścieżką w las.
Dopiero teraz zupełnie zielony.

Tam na zakręcie stoi stary klon,
Pod którym kiedyś parawan za wązki
Twojej spódniczki napróżno przedemną

Zasłonić starał się łydkę foremną
Poprawiającej coś koło podwiązki.
... Jakże mi ciężko wyjeżdżać z tych stron!

CZĘSTO świat w oczach twoich się odbija,
Nie dosięgając świadomości dna,
Drzewa i ludzie, czasem nawet ja:
Wszystko jak fantom przez nie się przewija.

I jakaś jedna powstaje stąd żmija,
Co monotonnie kłębi się i drga...
I odtąd wiedzieć już nie można dnia
Ani godziny ani kolej czyja....

Rekrut się chyba boi tak przed mustrą,
Jak ja się boję tych chwil roztargnienia —
Przy nich się lata zdają jedną chwilką —

Kiedy wpatrzone w świat bez zrozumienia
Twoje go oczy odbijają tylko.
... We wyższym stopniu ma tę własność lustro.

ZNOWU o tobie miałem dzisiaj sen
I śniło mi się, że minęły lata,
Ty wyszłaś za mąż i byłaś bogata
I wielkopański był na zamku tren.

Tak zaś dostałem się na zamek ten,
Że postawiono jako kandydata
Na posła twego małżonka magnata
I ja z wyborczych jedną byłem hjen.

Gdym ci się kłaniał, zmięszany do szczętu,
Spojrzałaś na mnie smutnie, nie bez wstrętu —
I jeszcze smutniej, lecz pięknie na męża.

Poczułem w piersiach ukąszenie węża
I tracąc wszelką pamięć o pozorach,
Krzyknąłem: bodajś przepadł przy wyborach...!
I obudziłem się....

WIAROŁOMSTWO.

I ty, ty właśnie śmiesz mi się jeszcze przypomnieć,
Ty od tak dawna w myślach moich pogrzebana,
Siedząc przed tualetą, wystawiać kolana?
Chyba zupełnie przyjdzie mi onieprzytomnieć!

Po tylu latach mogłabyś trochę zeskromnieć.
I komuż się to zjawiasz? — Wiedz moja kochana
Że ja do innej tęsknię od samego rana
I nie mogę na jedną chwilkę jej zapomnieć.

W jej cudnych oczach nowy dla mnie świt [zabłysnął,
Każdy palec jej nóżki do ust bym przycisnął,
Ja jedną tylko kocham wiernie i oddanie,

Ze szczęścia w obecności jej zaledwie dyszę,
Do nieobecnej wszystkie swoje wiersze piszę —
Jednak ciebie pogłaskać chęć mam po kolanie.

DZIEWKA.

Ni stąd ni zowąd jeszcze się rozmarzę —
Tak było kiedyś — dlatego być może,
Że już od dawna o tak późnej porze,
Sam jeden przytem po mieście nie łażę.

Różne w mej myśli zamigały twarze,
Przyjść obiecując, kiedy się położę,
Pomiędzy niemi była też, mój Boże,
I jej twarzyczka w całym dawnym czarze.

Serce mi drgnęło, że po latach tylu,
Gdzieś tam daleko, śród bliskich jej grona
Wciąż o mnie myśleć musi jak o wrogu.

Wtem zaczepiła mię dziewka na rogu
I wpadłem w pasyę — i nagle z profilu
Poznałem, że tą dziewką — była ona.

IŻ o bogactwach marzył bez upamiętania,
Dosięgnęła Midasa pogniewanych o to
Duchów podziemnych zemsta — i zemsta szatania
Bo czego tylko dotknął, zmieniało się w złoto.

Zbiegającą się zewsząd przerażony grotą
Śmierć sobie wydotykać miał według podania:
Tak ku mnie stęsknionemu za twoją pieszczotą
Z każdego się przedmiotu postać twa wyłania.

Kiedy do zimnej szyby policzek przyłożę,
Czuję na moich ustach twoje żarem tchnące,
Gdy zadumany w lesie o drzewo potrącę.

Stajesz przy mnie jak Drjada, co kryła się w korze.
Pościel się pod mą dłonią w pierś twą uwypukla
I słoneczny ma promień zapach twego pukla.

DLACZEGO mi się nie śni teraz moja miła?
Wszak jestem jej widoku tak bardzo zgłodniały!
Czy mię jej przyjaciółki przed nią ogadały —
Albo się rumieńcami przed matką zdradziła?

Czy się ostatnim razem o co obraziła?
Czym był nie dość wytworny? czy byłem zuchwały?
Lecz bez przerwy me oczy nią się zachwycały.
Drugi tydzień już mija, jak mi się nie śniła!

Czy, że słowik już zamilkł? czy że swego czaru
Nie leje księżyc skryty za chmury zbyt gęste?
Czy, że wiatry za zimne i deszcze za częste

I boi się po nocy nabawić kataru? —
A może naszą senną miłością znudzona
Woli na jawie tulić innego do łona?

ODKĄD wiem, że cię znowu do piersi wezbranej
Mam przycisnąć: to szczęściem swem bliskiem
[się poję
To tysięczne przeszkody, co zajść mogą roję
I na najgorsze jestem już przygotowany.

I w miarę, jak się zbliża dzień tyle czekany,
Tem bardziej, tem szaleniej ja się niepokoję
I bez przerwy cię w myśli błagam, skarby moje,
Byś mi taką wróciła, jak byłaś, bez zmiany.

Pewnym wprawdzie, że uśmiech zachowałaś miękki,
I serce, co, zapalać się umie szlachetnie,
I że zawsze jak dawniej ubierasz się świetnie:

Lecz nie daruj służącej twej starej sukienki,
Nie wylecz się ze swego na szyjce liszaju
I nie oducz się kłamać, jak miałaś w zwyczaju!

NA ZAKOŃCZENIE.

Czyżby nie mogła się już moja muza
Obejść bez takiej wątpliwej małmazyi.
Takich boleśnie lubieżnych fantazyi?
Czy musi szukać po zaułkach guza

I wyrażać się na sposób łobuza?
Czy nie przystępna żadnej już perswazyi
Korzysta tylko z zdarzonej okazyi,
By się napawać widokiem szlachtuza,

Gdzie dają gardło uczucia szlachetne?
Jeśli tak — pierwszy kres temu położę,
Własną jej ręką warkocze obetnę

I na pokutę zamknę ją w klasztorze.
Może poprawi się: jest jeszcze młoda
I w każdym razie byłoby jej szkoda.

SPIS: